

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

# ULANA

Powieść poleska



*Ułana* jest jedną z najdawniejszych powieści, pisaną była w roku 1842, tła i treści dostarczyły do niej lata pobytu na Polesiu, dzierżawy w Omelnem<sup>1</sup> i częstych podróży w głąb tego kątką kraju. Wioska opisana leżała zna drodze, a historia Ułany jest prawdziwą i ów pasek nawet czerwony, który ją kończy. Bohaterem był p. B, młody człowiek podobny do pana Tadeusza, którego historię opowiadano mi głuchą nocą na noclegu wśród lasów poleskich. – Za owych czasów Polesie było bardzo poetycznym krajem legend i powieści – a tak od niego do świata było daleko! Odbiło się też ono w naówczas pisanych opowiadaniach nie raz jeden i nie w jednej *Ułanie*. – *Ułanę* tłumaczoną na język francuski umieściła „L’Espérance”<sup>2</sup>.

J. I. Kraszewski

Dnia 6 stycznia 1874 roku  
Drezno

---

<sup>1</sup> Omelno – wieś w powiecie łuckim na Wołyniu, gdzie Kraszewski był dzierżawcą od r. 1837.

<sup>2</sup> L’Espérance” (Nadzieja), czasopismo międzynarodowe, wychodzące w języku francuskim w Genewie. *Ułana* ukazała się tam w przekładzie Władysława Mickiewicza (syna Adama) w latach 1859 – 1860

## I

Jeśli jaki kraj cichy, jeśli jaki spokojny, to Polesie nasze. Kiedy przez którą wieś gościniec pocztowy albo nie idzie trakt kupiecki, to prócz pospolitego odgłosu wsi, który jest jakby jej oddechem, nic nie słychać obcego, nic nie widać cudzego. Wszystkie świty<sup>3</sup> jednakowo siwe, wszystkie chustki jednakowo białe i sosny jednakowo zielone, i chaty jednakowo niskie i nieforemne, i ten sam zawsze dym czarny ponad ich dymnikami się wzbija. Jednakże jak dwóch liści jednakowych na krzaku, tak dwóch wiosek zupełnie jednakowych na Polesiu nie znajdziesz; tam cerkiew wyższa z ciemnymi galeriami dookoła, tam las gęstszy, tam chat więcej – wszystkie podobne jak siostry rodzone, a dwóch nie ma jednakowych zupełnie, jak dwóch twarzy ludzkich.

Spojrzyj ponad to jezioro, co ciche i spokojne położyło się u stóp wzgórza zajętego przez dwór pański – jest to jedna z najpiękniejszych wiosek wołyńskiego Polesia, co go otacza. Gdy zjedziesz z pagórka, po którym droga się wiję, widzisz przed sobą wieś rozsypaną nad brzegami jeziora; za nim dwór bieleje, a od przyjazdu twego trzykopolna cerkiew stara, na wzgórku stojąc, pogląda na okolice. Droga idzie spadzisto ponad jeziorkiem aż do karczmy, która wieś rozpoczyna. W oddaleniu jednaki las sosnowy. mniej więcej zniszczony, niższy lub wyższy, ogradzający każdy widok na Polesiu, piasek, błoto kępiaste, prze które sączy się rzeczulka okryta trzcinią; a nad tym niebo pochmurne.

Przez wieś ciągnie się błotnista ulica, gdzieniegdzie przedzielona dróżką od chaty do chłopskiego gumna, paździerzem<sup>4</sup> lub wiórami i trzaskami wysłana. Otaczają ulice na przemian chaty, chlewy, gumna całe i pozawalane, zwieszane w węglach rozparte, z słupami pochylonymi, z dachami zapadłymi lub zaczynające się dopiero kleić; między nimi kawałki t y n u (płotu z dębowych szczepów) i starego ogrodzenia z kołków i chrustu. Tu i ówdzie z zagrody błada jarzębina wychyla się na ulicę, stara grusza wygląda lub długi żuraw od studni kołyszę się powolnie nad głową przechodnia. Z przodu chat niskich, pokrytych nieszczelne czarnymi już od dymu dranicami<sup>5</sup> zaledwie do krokwi przymocowanymi, widzisz tylko pod okapem wystającym niewygodną przyzbę, często z położonej pod ścianą, odartej z kory kłody składająca się; niskie drzwi od dziedzińca, zniżone jeszcze wysokim progiem nie dopuszczającym wejścia do sieni blisko stojącej kałuży; małe okienka z umyślnych szyb okrągłych, zielonych, do dna butelek podobnych, złożone. Rzadko nieforemne szybki bielsze z cienkiego szkła pospolitego, kupione z gotowym oknem na jarmarku, zastępują pospolite krągłoszybe okienko. Nad okopconym dachem wysoki wznosi się dymnik drewniany, czarny od dymu, w kształcie trąby lub czworogrannego słupa. W zimie, a często i innych pór roku, nie dość dymnika na wypuszczenie dymu zebranego pod dachem chaty – ciśnię się on wszystkimi szczelinami, okny, drzwiami, ścianami i drzwiami tak, że zdaje się, jakby chata wewnątrz płonęła i za chwilę płomień miał się ukazać. W takiej to atmosferze smolnego, gęstego dymu sosnowych drewek, pary, swądu żyje Poleszok zwyczajnie.

Środek chaty tego samego ubóstwa czy niedbalstwa dowodzi: sień błotnista zwyczajnie, po której świnie się przechadzają, zarzucona grabiami, przygotowanym na zimę łuczywem, drwami olchowymi, drabinami i ułankami soch i bron popsutych – z niej wejście do jednej izby, z piecem i ławami dookoła, ciemnej, małej dymnej, bez podłogi. W środku stół jeden, dzieża, matka chlebobajna, w rogu izby na ławie pod

<sup>3</sup> Świty – sukmany chłopskie.

<sup>4</sup> Paździerz – skórka na lnieniu lub konopiach.

<sup>5</sup> Dranice – cienkie deszczułki.

świętym obrazkiem czasem jeszcze kołyska dziecięca i krośna tkackie. Nic zbytkowego, nic nad najpierwsze potrzeby życia, żadnego wspomnienia, żadnego uczucia przywiązanego do przedmiotu nie znajdziesz. Jest to jeszcze stan współdzikiego ludu, nie myślącego o niczym nad zaspokojenie pierwszych swych potrzeb zwierzęcych. zaledwie dziecinne młynki na rowach i ogródki pod chatami, w których złoci się nogietek, kwitnie czasem malwa i mak czerwony jaśniej, dowodzą, że i tu dzieciom młodym wolno się czasem pobawić. Niedługo jednak i dziecię, zaczynając od pastuszkowania, rzuca już swoje zabawki na zawsze, dziewczyna popadłszy za męża nie sadi kwiatków, nie stroi się w kwiatki. O, jak łzej, swobodniej nad jeziorkiem niż w tej chacie smutnej i brudnej. Na wzgórzu masz dom dziedzica, który wiankiem otoczyły topole, przegładające się w wodzie – ostawiony spichlerzami, gumnami, stertami i stogami siana. Wśród drzew widać tam i gołębnik, i żuraw studni, i próżnujący wiatrak z tyłu na pagórku, któremu wiatr lasy kradną i odpoczywa też większą część roku.

Dalej, na drugim brzegu wyniosłym jeziora, cerkiew czarna, mała, stara, krzyż koło niej i dzwonnica; milcząca cerkiew, której jeszcze życie wraca, kiedy się pieśnią jej ściany rozlegną, dzwony uderzą, lud ją przepelni. Od niedzieli do niedzieli milcząca, głucha patrzy na wioskę jak staruszka na dzieci, co grzebią w piasku. W oddaleniu, na żółtym polu, wśród zagonów chłopskich jest smętarz wiejski pogarbiony mogiłami, nad którymi stoją czarne krzyże podwójne, potrójne, od drobnych, które nastąpisz nogą, do wysokich jak sosny; proste i malowane, z Męką<sup>6</sup> i bez Męki; nad wszystkie inne wznosił się krzyż Semena Bartnika, pokryty zielonym daszkiem. Syn mu go postawił; wziął po nim sto barci, było z czego!

Teraz pytaj, jak ci ludzie żyją, którzy w tych chatach mieszkają, w tej cerkwi się modlą, na tym leżą smętarzu. Życie to smutne, a jednak nawykniemiem lekkie, byleby Bóg rodził, byleby ich zbyt obfity połów ryb głodem nie straszyl, bo wierzą w przysłowie: kiedy się ryba łowi, żyto się nie rodzi. Łatwo wytłumaczyć te przypowieści: ryby najlepiej się łowią, gdy wielkie wody, a niskim gruntom Polesia zalewy grożą nieurodzajem. Zapomnieliśmy jeszcze ważnej jednej we wsi budowy, jednej z najważniejszych. Widzieliśmy już dwór, który dla kmiecia reprezentuje władzę i zwierzchność, cerkiew – skarbnice niebieskich przyszłego żywota nadziei; zostaje karczma, miejsce uciechy codziennej. Wszystkim tym trzem wkoło siebie ustawionym ogniskom wieśniak musi dać z siebie życie, musi odpracować, odpłacić za opiekę panu, za nadzieję księdzu, z uciechy arendarzowi; wszyscy trzej żyją z niego, ale i on bez nich żyć by nie potrafił. Pokażcie mi wieś bez dworu, cerkwi i karczmy. Będzie to chyba biedna jakaś sierota. Jeszczeż obejdzie się bez dworu łatwo, jako tako bez cerkwi (bo są miejsca, gdzie o milę chodzą się modlić i grzebać umarłych) – ale gdzież jest wieś bez karczmy? Byłoby to stworzenie bez głowy. Karczma bowiem jest miejscem schadzki, rady i wesela, w niej się wszystko rozwiązuje i nawiązuje, w niej żal jeden drugiemu wylewa, w niej się kłóca o biją, i swarzą, i godzą – i kochają! karczma to serce wsi, tak jak cerkiew jej głową, a żołądkiem jej dwór; ręce i nogi tego ciała to chaty wieśniacze. W tej długiej, walącej się budowie, w której razem mieszka Żyd z rodziną, bydło, kozy, gęsi i kury prze ścianę tylko od niego, a czasem nawet w jednej izbie – jest główne miejsce schadzki i rady, dzisiejsze horodyszcz<sup>7</sup> wieśniaków. Nad jej dachem wznosi się arystokratyczny biały komin, okna ma podobne chłopskim, ale znacznie większe, u okien okiennice, u drzwi czasem żelazne klamki, jeśli nie pierwotne zasuwki drewniane.

Pierwsza izba, prócz łóżka żydowskiego (które w każdej izbie być musi), ma stół szynkowny, szafę szynkowną z odmalowanymi na niej kwartami i wieńcami z obwa-

<sup>6</sup> Męka – figura Pana Jezusa ukrzyżowanego.

<sup>7</sup> Horodyszcz – (z ukr.) miejsce, gdzie za czasów słowiańskich odbywały się wiece, zebrania.

rzanków, piec z przypieckiem i komin szeroki, na którym i w lecie palić się musi dla Poleuka; wiadro z wodą, bezpłatnym napojem podróżnych bez grosza, trochę bachurów, błota i wiele smrodu.

W drugiej izbie może być zabita koza, baran lub cielę, pełen kąt kartofli – dziesięcioro przykazań w kącie, znowu kilka łóżek z wysoko wysłanymi betami, ławka, stolik. Jeszcze tu gęściejsza ludność, Jeszcze dziwniejsze (jeśli być mogą) wyziewy. Otóż karczma poleska – serce wsi.

Tu to zobaczysz starców wlokących się, żeby zalać w głowie resztę rozumu i pamięci, kobiety oszarpane i brudne, niosące krupy, jaja, kury, często ostatnie berdo<sup>8</sup> z warsztatu, za kwartę wódki; dziewczęta pijące dziesięciu łykami jeden kieliszek, chłopców zziębniętych zasługujących się pani arendarce za kropelkę tego czarownego napoju. O, ileż scen, których połowa ludzi, że są nisko, nie widzi, druga połowa nie sądzi godnymi bliższego przypatrzenia się i zajęcia. Ile tu ciekawych rozmów objaja się o te brudne ściany, ile kłótni, ile powiastek. I nikt nie patrzy, i nikt nie słucha; a przecie i to są ludzie; tu najszczerzej w nich może otwiera się niczym nieskrępowana natura ludzka, nagi człowiek, jak wyszedł z rąk Bożych, którego tylko trochę udawania nauczyli panowie, a trochę wiary duchowi.

Ale czas zajrzeć do dworu i wyjść z karczmy. pan tej wioski, sam jeden, nieżonaty, niedawno powrócił z miasta, młody jeszcze – głowa zapalona, serce wrzące. Wszystko złe, jakie kiedy książki, przewracając głowę, zrobić mogły, na nim zrobiły. Tadeusz Mrozoczyński nie skończywszy nauk za życia rodziców, poczciwej szlachty, odumarły sierotą – resztę szkół i uniwersytet odbył sam, swobodny w mieście. Szczęściem czy nieszczęściem dla niego nie wpadł on w towarzystwo młodzieży zupełnie zepsutej, lecz obłąkanej; z tego obcowania z nią, z ulubionych ksiąg, dostał zawrotu poetycznego i jakiegoś przekonania, że aby być wielkim człowiekiem, dosyć jest prawie być wielkim dziwakiem. Co też za dziwactwa dokazywał w mieście i czego sobie nie pozwalał, opisać, wypowiedzieć trudno. Nie uznając za obowiązujące żadnych prawideł towarzyskiego życia, żadnych względów nie mając na ludzi i opinię, robił to tylko, co mu się podobało, często szlachetnie, a po większej części tylko nierozważnie postępując sobie. Był to młody chłopiec bez rozwagi, bez uczucia potrzeby hamulca, brnący wpływ wszystkiego za uczuciami, namiętnością, walczący z opierającym mu się światem, nie zrażony długo przeciwnościami, śmiesznością własną – niczym. Jątrzyło go wszystko, ale nic nie wstrzymywało.

Nareszcie skutek wypadku, z którego wyszedł haniebnie oszukany, gdy chciano skorzystać z jego prostoty, szlachetności i ślepoty dobrowolnej, a przypadek ledwie go od nieszczęścia ocalił – Tadeusz zbrzydził sobie świat, zasmakował w myśli samotnego, pustelniczego życia, wyjechał na wieś do swego Jeziora i tu przedsięwziął czytać tylko, dumać i tak całe spędzić życie. Łatwo było przewidzieć, że to nagłe, namiętne, nierozważne postanowienie jedna chwila zburzyć mogła, a rok ciężarem swym przełamać musiał; lecz jemu się zdawało, że w tym życiu wytrwa, że je poślubi na zawsze. Cieszył się tą myślą pustelniczego życia, powiedziawszy sobie, że nie ma przyjaciół, że nie ma krewnych, że nie ma żadnych związków na świecie, że jest sam jeden, wziął los swój przesądając go i nie chciał już znać i widzieć nikogo, żyć z nikim i nad swoim Jezioroem, wśród niedostępnych błot i lasów ze strzelbą, wyżłem i książką myślał wiek cały przepędzić. Dom jak zastał po rodzicach, tak religijnie zachował, nic w im nie ruszył, nic nie zmienił, a choć widział piękniejsze, choć mógł mieć wygodniejszy, cenił w nim ostania pamiątką tych, co go jedni prawdziwie kochali, a których już na świecie nie było. Wybrał sobie jeden pokoik na rogu, do tamtych tylko jak w gościńnię uczęszczając.

---

<sup>8</sup> Berdo – grzebień tkacki

Widok opuszczonych mieszkań, z których – zda się – wczoraj życie uciekło, mieszkańcy wyszli, był smutny, ale dziwnie przejmujący. W pokoju matki na kominie siedł codziennie nakręcany zegar, śpiewały stare kanarki, leżała pończocha nie dokończona, poduszka pod nogi, książka otwarta na loretańskiej litanii założonej wstążeczką. Łóżko nawet pod czerwonym adamaszkowym pawilonem posłane stało i klucze od komódek i kantorka wisiały na świeczku wbitym przed ćwierć wiekiem.

W pokoju ojca tenże porządek; strzelba na haku, torby i trąbki, kalendarz na sznurku, wyschły kałamarz na stoliku, na którym leżał zegarek kieszonkowy z pieczętką herbową, woreczek zielony od pieniędzy i tabakierka z konchy. Olchowe drewna nie dopalone na kominku, zapas ich w skrzyni.

Na półeczce świeca, siarniczki<sup>9</sup> i fidybusy<sup>10</sup> do fajek, postrzyżone z listów. Dalej szafa z odzieniem, łóżko z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w głowach i gromnica, której już użył ten, co na nim sypiał. A wszystko jakby wczoraj opuszczone, jakby tylko co porzucone jeszcze. Co chwila spodziewać się było można usłyszeć głos zmarłych, zobaczyć ich wchodzących – żyli tu jeszcze. Nie każdy byłby mógł sam jeden wobec tak rozdierającej, tak dojmującej pamiątki zmarłych wytrzymać, wyżyć i patrzeć na nią bez boleści niepokonanej – potrafił to Tadeusz i jemu lubo było wieczorem cieniami rodziców zaludniać te puste pokoje, w których tylko matczyne świergotały kanarki i stary zegar zdał się szeptać *Wieczne odpocznienie*.

On nic nie ruszył z miejsca, nic nie dozwolił przestawić, szanował nawet węgle w kominku ojca i popiół z ostatniej przez niego wytrząśniętej fajki, i próbkę pszenicy rozsypaną na oknie, którą tylko myszom jeść było wolno.

Takie samotne, pustelnicze życie pana Tadeusza trwało już miesiąc czy dwa podobno – i to wiele, bardzo wiele! Książki, polowanie, przechadzka, dumanie zajmowały cały czas, czuł się spokojniejszym, jeśli nie szczęśliwszym, a choć czasem poziewał, choć co dzień śniło mu wrzące miasto i turkot powozów, i łoskot muzyki, i gwary ludu – gdy się obudził przy szumie jeziora, przy odgłosie dzwonu cerkiewnego, czuł, że mu tu lepiej było, i doznawał jakby słodkiego upojenia dokonaną zemstą, mówiąc:

– Obejdę się bez świata i ludzi.

Jeden tylko sługa, dość niezgrabny, lecz milczący, bo pan Tadeusz rozmowy ze sługami nie lubił, cały dwór jego składał; ekonom, kucharz, szafarka rzadko mu się pokazywali, dawał rozkazy, patrzył, czy je spełniono, lecz się do nich więcej nad konieczną potrzebę nie odzywał. Często Jakub służący nosił tylko rozkazy; i Jakub był też ważną figurą we dworze, bo on jeden do pana przystępował, był to jakby pierwszy minister.

W pokoju Tadeusza było łóżko ciasne i twarde, stolik z książkami, na ścianie strzelby i torby, pies przed zawsze zapalonym kominem grzejący się, szafka zamknięta u drzwi. Oto cały sprzęt jego. Strój składał się z tych fantazyjnych części ubrania, które opierają się modzie i rozkazów jej nie słyszą. Kurtka szara, czamarka<sup>11</sup> czarna, lisiurka<sup>12</sup> zielona, czapka z baranem, kapelusz słomiany, twarde rękawice łosiowe.

Nie darmo pierwszy strojniś w mieście na wsi pierwszy przyjął ten rodzaj stroju powszechnego, który go nie odróżniał od innych, a uwalniał od myślenia od najgłupszej ze wszystkich reguł towarzyskiego życia – o modzie. Całkiem pustelnik, wyrzekłszy się świata, bo nawet do najbliższego nie jeździł miasteczka, chciał żyć sobie tylko, nie zważając na nic i na nikogo, i całym dniem rozporządzał, jak chciał, jak zamyślił.

---

<sup>9</sup> Siarniczki – zapalki.

<sup>10</sup> Fidybusy – zwitki papieru służące do zapalania fajki.

<sup>11</sup> Czamarka – dawna długa suknia męska zapinana na dwa guziki

<sup>12</sup> Lisiurka – futro lisie.



Nie miał interesów żadnych, nic mu nie przeszkadzało i rad był swojej swobodzie, przekładając ją nad życie miejskie, a w duchu obiecując sobie, że do niego już nigdy a nigdy nie wróci.

– Czyż jeszcze nie dość znam ludzi? – mówił do siebie. – Czyż znowu cierpieniem miałbym nowe doświadczenia płacić? Iluż to ludzi nie ma tej swobody, takiego kątko, takiego życia jak moje, niezawisłości mojej? Iluż to jeszcze mogłoby mi zazdrościć? Na co mi świat, kiedy mi wystarcza Jakub, pies, strzelba i kilka ulubionych książek, kiedy mam las, wodę, ziemię, powietrze moje, kawałek mojego nieba, kiedy o nic nikogo nie proszę i nie mam natrętów, i jestem tak dobrze, tak spokojnie, sam jeden!

To mówiąc, zawsze jednak wzdychał Tadeusz, jakby żałował, że mu się przeszłość nie udała, jakby czegoś więcej wymagał jeszcze od życia, jakby roił nadzieje, do których sam sobie nie chciał się przyznać.

## II

Bardzo rano po wczorajszym polowaniu obudził się pan Tadeusz, ale od dziewiątej wieczornej do trzeciej rano dosyć wypoczął, już się też na dzień zbierało i prze okno słyhać było świergotanie ptasząt koło domu w porzeczkach i leszczynie. Skrzypiał jeszcze żuraw studni, co głosem swym Tadeusza zbudził. On porwał się z łóżka, przetarł oczy i poprawiwszy na kominie wygasły ogień, usiadł do herbaty przygotowanej już przez Jakuba, sposobiąc się znowu wyjść ze strzelba sam jeden, jak zawsze. Zadumany, myślący, chodził po izdebce swojej, bo co ranka tak, nim się przejął nowym swoim życiem, wstawał ze snu świeżo upojony marzeniami przeszłości, które mu się całą noc roiły, które potem opędzać musiał jak muchę natrętną. O! przeszłość zerwana, nie dokończona, kamieniem cięży na sercu.

Wstawszy od herbaty, wdział prędko swój ubiór myśliwski i nie czekając wschodu słońca i ciepła, wybiegł na brzeg jeziora drożyną do lasu wiodącą.

Był to piękny, cudowny ranek wiosenny, piękny ja dziecię, co się rumiane budzi w kołysce uśmiechem, pokropiony rosą perlistą, wonny, smętny, a tak spokojny! Nad jeziorem unosiła się mgła lekka, kołysząca się wiatrem, pachniały kwitnące czeremchy, śpiewały słowiki, a na wschodzie czerwieniało niebo tam, gdzie za chwilę słońce się miało urodzić.. Przed nim wiała się piaszczysta drożyna przez pole do lasu wiodąca. Za nim został dwór, jezioro, wioska – przed nim rozwijał się czarny, szumiący poważnie bór sosnowy. Tadeusz się zadumał i głowę spuścił, i szedł tak dość długo, aż pies, jego wierny towarzysz, zaszczekał, a ktoś krzyknął bojaźliwie.

Tadeusz obejrzał się i zobaczył...

Prostą wsi swojej kobietę – bosą, w siwej świtce, w białej chustce na głowie, idącą zapewne do lasu po wiosenne grzyby, bo na plecach niosła króbkę<sup>13</sup>, na czerwonym zawieszonym pasie. Spojrzał i mimowolnie zatrzymał na niej oczy, bo było coś tak wdzięcznego na jej twarzy, w jej postawie, a nawet prostym, ale zręcznym ruchu, iż nie mógł pojąć, jakim sposobem tak piękna kobieta była tylko prostą wieśniaczką. Patrzył i patrzył myśląc, że to był chyba ktoś przebrany. Twarz tak biała, usta tak świeże, włosy tak gładko uczesane pod białą chustką, ruch tak zręczny. Skądże to na wsi! W Polesiu! Spojrzał na kosy chcąc wiedzieć, czy była zamężna, i nie spostrzegł ich. Miała więc męża!

Tadeusz zbliżył się do niej i uporczywie na nią spoglądał, ona się rumieniła i szła ciągle z rękoma w kieszeniach świty, z głową spuszczoną, jakby się wstydzila, że była tak piękną. Nie było uśmiechu na jej twarzy, jaki pospolicie u prostych kobiet przybywa na usta, gdy są rade spojrzeniu i pochwałom. Spuszczała głowę niespokojna i zarumieniona.

– A z witki ty? (A skąd ty?) – spytał Tadeusz.

– Z seła (z wioski).

– Z Oзера?

– Z Jeziora – odpowiedziała po polsku.

– Umiesz po polsku?

– A cóż? (zwyczajna odpowiedź na Polesiu zamiast prostego : tak) Umiem.

– Gdzieżeś się nauczyła?

– We dworze.

– Gdzież byłaś we dworze?

– Tu, u państwa.

– Jak się nazywasz?

---

<sup>13</sup> Króbką – koszyk.

- Ulana.
- A twój mąż?
- Okseń Honczar<sup>14</sup>.

Wszystko to mówiła Ulana cicho i niezrozumiale, oglądając się wokoło i przyspieszając kroku coraz bardziej. Ale Tadeusz nadto był zdziwiony, tą niebieską twarzą anioła w szacie tak lichej, żeby jej się dozwolił przegonić. Spojrzał na nogi – nóżki miała małe, ale zbłocone i czarne; wyjęła rękę z kieszeni poprawując włosy – i ręka była mała, różowa, a jak na prostą kobietę – niepojęta. Twarz czasem się trafia, ale ręka? Ręka, co jest wyłączną ozdobą tych, co nic nie robią i mają ją tylko piękną, zdaje się na to, aby nią się chwalić.

Już Tadeuszowi brakło zapytań; jej serce biło i lico się paliło, i tak uciekała, że na koniec musiał ją porzucić, ale jeszcze szedł z daleka.

- Dokąd idziesz?
- W las za grzybami...

Tadeusz odwrócił się drożyną w drugą stronę i poszedł zamyślony. W jego głowie to objawienie się tak pięknej kobiety wywołało tysiąc wspomnień, tysiąc bolesnych pamiątek.

– O! – mówił do siebie, oglądając się na bielejącą świtkę Ulany w oddaleniu – jest to zaniedbany piękny kwiat wśród chwastów, kwiat, który od wielu naszych oranżeryjnych byłby piękniejszy, gdyby tylko na grządce ogrodu zszedł był, a nie w lesie. I Okseń Honczar, a iluż to lepszych od niego, umiejących kochać, kochaliby ją. Jakże by z nią ktoś mógł być szczęśliwym! Bo te oczy nie kłamią, jest w niej dusza, ale ta dusza śpi – i spać będzie całe życie. O! byłby z nią szczęśliwy – powtórzył – i nie jeden – dodał zaraz z szyderskim uśmiechem. – Nie jeden, dwóch razem, może pięciu, dziesięciu!

Te ostatnie słowa, tak dziwaczne, przywołały na usta jego wspomnienia dawnej miłości, w której dziejach nie on sam, nie on jeden był tylko – podobno aż dwóch naraz szczęśliwych! Wspomnienie jeszcze go gryzło.

Tadeusz spuścił głowę smutnie i poszedł w las z myślami.

---

<sup>14</sup> Honczar – po ukr. garnarcz (nazwisko pozostało z przezwiska).

### III

W kilka dni potem wszyscy byli na polu, a Tadeusz przeciw zwyczajowi swemu kierował się ulicą ku wsi wiodącą, do chaty garncarza. Po co? sam nie wiedział, a kiedy się sam zbadał i uczył, dlaczego to robi – śmiał się z siebie.

Jak często w jednym człowieku jest wyraźnie dwóch ludzi! Zimny tylko, jednym rozumem i głową rządzący się, nie czuje nigdy tego rozdwojenia w duszy. Dla innych jest ono cierpieniem nieznośnym. Często się śmieje jeden z płaczu drugiego, wyszydza jego czynności, grozi przyszłością i wśród najwyższej rozkoszy wskazuje chmury rodzące się na niebie, rozbija rozkosz analizując ją, obrażając niedowiarstwem swoim. Zimny to rozum, co jak strażnik siedzi wysoko, patrzy pod nogi – i ostrzega, i szydzi. Rzadko człowiek mu posłuszny i mści się rozum na nim szyderstw, mści się wyrzutami późniejszymi. Im go mniej słuchają, tym ostrzej dojada, tym boleśniej kąsa, tym więcej szydzi. O! to męczarnia! Serce leci do świata, człowiek wyciąga ręce, czuje się szczęśliwym, chwytą swoje szczęście, a ten głos okropny Kasandry<sup>15</sup>, który w łonie swym nosi, krzyczy mu nad głową nieustannie: zobaczysz jutro to twoje szczęście! Albo: przypatrz się, coś otrzymał! I naówczas człek patrzy, zaczyna nie wierzyć, przestaje być szczęśliwym.

Ten głos ducha zawsze się przeciw woli człowieka, zawsze z groźbami staje w poprzek jego drogi! – niestety – on zawsze prorokiem!

A człowiek opuszcza głowę, zamyka oczy, dogadza namiętności i nie otwiera powiek, aż zbudzony szatańskim śmiechem tryumfalnym rozumu.

Rozum to, czy jak chcesz, go nazwiesz, nieznośny, uparty nieubłagany. Głos jego nieustannie obija ci się o uszy i nie daje spokoju; zagłuszyć go niepodobna – on z tobą wszędzie jak twoje sumienie, on jest częścią ciebie, ale częścią oderwaną, niezależną, co plwa ci w oczy tarzając się z tobą w błocie, a nie zwala ci, co szydzi z twoich rozkoszy, wyśmiewa płocze zamiary, zuchwałę plany wskazuje rozbite na ziemi.

Któż z was nie zna tego towarzystwa niedostępnego, tego węża, co opasawszy ciebie, ssie z twej piersi spokojność i czarną przyszłością, jeszcze nim przyszła, straszy, ścierając z brzegów osłodzonej czary życia odrobinę miodu, co przepaście goryczy nagradza?

Właśnie Tadeusz walczył z tym wrogiem, dwóch ludzi w nim mówiło. Jeden zimny, rozsądny, szyderski, drugi nieopatrzny, namiętny i dziecinny

I pierwszy nielitościwie wyśmiewał drugiego, męczył go, upokarzał – a drugi? jakby nie słyszał, jakby nie czuł, jakby nie rozumiał.

– Cóż to? Pokonałeś garncarzychę? Proszą wieśniaczkę? – mówił szyderca – Szkarada! Zgorszenie! Wstyd! Bedzieszże śmiały? Potrafiszże? Odważyszże się?

Na to wszystko Tadeusz nic nie odpowiadał. Szedł, słuchał, milczał.

W istocie coś się z nim działo. Zaszła jakaś odmiana. W nocy nie miasto ze swym gwarem, nie las z kołyszącymi się sosny i wonnymi brzozy, ale piękne oczy garncarzychy mu się śniły, a tymi oczyma patrzyła na niego!

A! ta, co go zdradziła! Zawsze ta jeszcze – taż sama! I widział ją, i widział inną, dwie w jednej; a gdy się obudził i wyszedł w las, na pole, niespokojny obracał się, szukał oczyma, czy gdzie nie ujrzy znowu Ulany.

Posłuszny gwałtownej żądzy zobaczenia oczu tej kobiety, szedł ku chacie garncarzychy. We wsi cicho było, tylko się dzieci na ulicy bawiły, staruszka nosiła kaszląc wiadro wody i co chwila odpoczywała; małeńkie dziewczątka w jednych koszulkach tańcowały śpiewając po błocie przed chatami.

---

<sup>15</sup> Kasandra – tu: wróżka, Kasandra, córka króla trojańskiego Priama, przepowiedziała upadek Troi.

Wszedłszy w wieś, zbliżywszy się ku chacie, Tadeusz się wstrzymał i zawstydził sam siebie.

– Szalony! – zakrzyczał mu ten drugi ja, co nigdy nic nie robi, a nieustannie z wszystkich czynności człowieczych się śmieje. – po co idziesz? Co myślisz?

A pokorne w obliczu skutkiem czynności drugie ja mówiło:

– Jej pewnie nawet nie ma, ona w polu. – I znowu szyderca paplał do ucha:

– A jeśli ona w domu, a ty do niej wejdiesz, wszyscy o tym będą wiedzieli, ją mąż obje, choćby nie było za co. A tobie? Będzie ci z tym lepiej, swobodniej, weselej? Pomoże ci to?

– Wstąpił napić się wody – powiedział drugi ja po cichu. – Cóż w tym doprawdy złego? Nawet bardzo mi się pić chce... tak gorąco!

Już stał przy niskich drzwiach chaty, poruszył skoblem – wszedł.

A szyderca zaśmiał się swoim głosem i zawołał:

– O! Ślicznie! Prześlicznie! Wybornie!

Ulana – była w domu, stała w sieni, około drobiu coś robiąc – postrzegłszy pana zaczerwieniła się, pobladła i osłupiała z podziwienia i przestachu.

Trzeba albowiem wiedzieć, że Tadeusz nigdy po wsi nie chodził, nigdy w chatach nie bywał. Biedna kobieta zrozumiała wszystko, zadrżała i milcząc czekała, co jej powie.

– Dajcie mi wody, Ulano – rzekł z cicha Tadeusz przestępując próg.

Pobiegła prędko garnarczycha do wiadra do pierwszej izby i cała jeszcze zaczerwieniona, drżąca, wyniosła kubek z wodą. Tadeusz pijąc ją niby, patrzył, ale pił powoli, a patrzył ciągle. Ulana zakrywała się ocierając fartuchem twarz i nie wiedziała, co począć. Dworscy tak ją przyzwyczajili do grubiańskich zalotów, od których się bronić potrzeba było pięścią i kułakiem jak od wilka, że na koniec, widząc zimne na pozór lice pana, nieruchomą jego postawę, zaczynała wątpić o tym, co wprzód jej na myśl przyszło.

– Cóż tu robicie sama? – spytał po chwili.

– A cóż? zwyczajnie w domu znajdzie się robota.

– Wszyscy w polu?

To pytanie znowu nastraszyło kobietę i milczała, ale jakby za odpowiedź dały się słyszeć głosy dziecięce z ulicy.

– Możesz mi nierada w chacie?

– O! i bardzo – odpowiedziała z przymusem i zimno, ocierając znowu twarz fartuchem – ale chata uboga.

Bogata, kiedyś ty gospodynią, moja piękna Ulano – rzekł pomieszany i niewiele wiedząc, co mówi, Tadeusz.

– Alboż to bogactwo! – odpowiedziała garnarczycha wzdychając.

– Wszyscy kochają.

– Tym gorzej.

– Dlaczego?

– Czyż to pan nie wie? Jak ludzie kochają, to mąż nie kocha, a jak mąż nie kocha, nie ma zgody w domu, płacz tylko i bieda, gorzej głodu.

– A mąż bardzo cię kocha?

– Nie wiem, musi kochać...

– Stary on czy młody? Bo wy czasem za młodszych od siebie mężów idziecie!

– O! mój stary!

– Jak to! Stary! Któż ci kazał iść za niego?

– Zwyczajnie... ja z ubogiej chaty, on bohater<sup>16</sup>.

---

<sup>16</sup> Bohater – (białor.) bogacz.

– Biedna! – rzekł z cicha Tadeusz . – Taka piękna!

– Czy to na długo! – pogardliwe szepnęła kobieta.

We wszystkich jej odpowiedziach był jakiś smutek, którego również jak niepokój w jej głosie, w postawie się malował. Tadeusz trzymał kubek w ręku jeszcze jakby na wymówkę swej przedłużonej w chacie bytności – nie śmiał wychodzić. Siła wzroku tej kobiety, wzroku, który w sobie miał coś niepojęcie uroczonego, wzroku, co od niej był piękniejszy, trzymała go przykutym u drzwi.

– I nie wiesz nawet, czy cię twój mąż kocha? – powtórzył Tadeusz.

Kobieta spojrzała, milczała.

– Musi mnie kochać – odpowiedziała po chwili – bo bardzo zazdrosny. Wieleż to razy za to, że dworski który pożartował, wybił.

– Jak to? Wybił? – zawołał Tadeusz zdziwiony. – Śmiał cię uderzyć?

– Cóż to dziwnego? Alboż to ja nie jego żona?

– Prawda! Lecz cóż ty temu winna, żeś piękna i wszyscy to widzą.

– Ja temu niewinna, ale ja za to pokutuję. O, i wieleż to razy modliłam się do Boga i Matki Boskiej, żeby mię od ludzkich napaści uwolnił.

– I nie lubisz, kiedy cię kto pokocha?

– Na co się to zdało! I jeszcze mąż bije za to! A gdyby nie bił, co to ich za kochanie!

Na ten wykrzyk z cicha, dziwnym jakimś głosem, z westchnieniem wyrzeczony, zadrzał pan Tadeusz i oczy na nią zwrócił.

– Jak to? A jakież inne wiesz kochanie?

– O! wiem – odpowiedziała spuszczać oczy kobieta – słyszałam o nim będąc we dworze, nieraz słyszałam, jak mówili, i widzi łam, jak kochali po pańsku! O, to, to nie tak jak dworacy i my! Tamto pańskie kochanie bardzo jekieś piękne, trochę smutne, a choć smutne, to miłe. I kończy się, mówią, zawsze niewesoło. Tak ludzie we dworze powiadali.

– Prawda... prawda... to co innego, nie wasze, nie chłopskie, Ulano – odrzekł Tadeusz – ale u was, we wsi, kiedy mąż wybije, matka połaje, kobieta zapłacze, a chłopiec się upije, to i po wszystkim. Tam na tym nie koniec, za tym pańskim kochaniem idzie choroba i śmierć często.

Kobieta nic nie odpowiedziała, ale kryjąc jakieś uczucie widoczne na twarzy czy westchnienie może, odwróciła się do kur, a Tadeusz wyjść musiał.

Wyszędłszy uczuł, jak go wstyd ogarniał, razem z blaskiem słonecznym dnia i świeżym powietrzem. Wspomniał, z czym wchodził do chaty, a z czym wychodził z niej. A serce mu biło, a twarz pałała – a wszystko dla jednej prostej kobiety, dla wieśniaczki! Dla Honczarychy.

– I ona – mówił do siebie – wie, że jest jakieś insze kochanie, że jest jakieś lepsze szczęście, warte ofiar – że na tym świecie bożym, na którym ona pędzi szare godziny między kolebką dziecka, stodołą i chlewem, jest insze życie uczucia, życie serca, obłąkania i szczęścia. Biedna Ulana, na cóż jej było do dworu zaglądać i bajek słuchać – i bajkom wierzyć. Nie lepiejże dla niej byłoby jak inne zostać szczęśliwą, zepsutą jak jej siostry, niż biedną i czystą jak niewielka liczba wybranych męczenników, których między jej równymi nie znaleźć? teraz by się pocieszała z jakim dworakiem, nie dbając o męża, nie czując tej tęsknoty za drugim jakimś kochaniem; nie byłoby jej nudno w chacie! Ależ to dzieciństwo! Dzieciństwo! Marzenie, dziwactwo! Chytra to dworka i nic więcej zapewne. Cha, cha! I mnie na chwile podeszła.

Tak myśląc, szedł pan Tadeusz brzegiem jeziora, ku domowi ze spuszczoną głową; niekiedy poglądał na dwór samotny, cichy, jak było jego życie, to znów na wieś i na

czarną cerkiew starą; a w głowę jego zwieszoną, jakby ciążyła, plątały się dumania wieczorne i niespokojne pytanie przyszłości o jutro.

Bo każdy człowiek ma trzy życia w sobie: jedno, po którym płacze, drugie, w którym żyje i stęka, trzecie, którego się spodziewa; tego trzeciego brakło w tej chwili Tadeuszowi i dlatego tak dumał smutnie. Jedna kobieta, jedno wejrzenie, słowo, już mu obrzydziły to życie, które przed kilku dniami jeszcze za najspokojniejsze, najszcześniejsze uważał. Jedna kobieta, i jakaż kobieta!

A wieczór zstępował na ziemię cichy, spokojny, wiejski; słońce czerwieniało za lasem sosnowym, bydło wracało z pola i samo szło z spuszczonej głowy do swoich obór i chlewów, skakały kozy, których tyle Poleszacy trzymają; niewiele owiec z długą wełną na cienkich nóżkach biegły becząc ku chatom – leciały dzikie kaczki nad jeziorem, wiatr podnosił jego fale i rozbijał je o brzeg nad drogą. W tym widoku tak pospolitym, tak codziennym był jakiś urok tęsknoty, było życie, lecz życie, którego widok nie wystarcza cokolwiek szerszemu sercu, może, że zbyt ciche, że zbyt bez celu. Tadeusz patrzył, widział to, co go otaczało, pięknym, a zarazem, coś smutnego biło w jego sercu, że się zatrzymał i usiadł, czując potrzebę smutku, potrzebę tęsknoty.

Cały ten ruch wieczorny wsi przeszedł drugim brzegiem jeziora naprzeciw niego i posunął się mimo karczmy do siola. On siedział i patrzył, a mimowolnie oczy jego zwracały się na chatę Ulany, z której dymnika czarny, smolny dym się unosił. Słysząc tam było w tej stronie z rykiem bydła pomieszane głosy wracających z pola i dzieci witające matki, i śmiechy!

– Są jednak i szczęśliwi w tym życiu – pomyślał – może prędzej i mniejszym kosztem niż w innym. Chleb dla nich wszystkich, a dzięki Bogu nie są głodni i nie będą.

Jakiś szelest dał się słyszeć za nim, ktoś przeszedł mimo. – Jakby naumyślnie na rozdrażnienie go była to Ulana. Tadeusz powstał, chciał ją zatrzymać. Ona biegła z wiadrzem wody, spojrzała, uśmiechnęła się i uciekła. Nie chciał jej gonić, a z drogi widać ich było, mógłby być kto zobaczyć, a mąż! Wówczas byłoby piekło w chacie.

Wstydząc się i sam sobie różnego robiąc wyrzuty, Tadeusz wrócił do dworu. Nikt na niego nie uważał, nikt do niego nie przemówił, poszedł i zamknął się w swoim pokoju.

## IV

– Tak, tak – mówił w parę dni potem – filut dworka, umie ona jak nasze panie i wzdychać, i gadać, i oczy przymrużać. Ich prostota, kiedy się w nią fałsz wda, sto razy niebezpieczniejsza, bo w jej szczerłość łatwiej się uwierzy. Za cóż by ona miła być wyjątkiem? Za cóż bym miał tak się niżyc, żeby się aż przywiązać do tej kobiety, do prostej Honczarychy?

Wyszedł i trzasnął drzwiami za sobą, a w sieniach zastał... kogóż znowu? Ulanę. Tą razą śmielsza, podniosła przeciw niemu swoje czarne oczy.

– Co ty tu robisz?

– Że byłam dawniej we dworze i umiem prac, wzięli mnie do pańskiej bielizny.

– A dworscy pewnie temu bardzo radzi?

– O! Ale ja. Mąż aż tu przychodzi śledzić za mną.

Tadeusz ruszył ramionami, a widząc ekonoma na dziedzińcu, zawołał na niego:

– Panie Linowski! Każ waćpan, niech Okseń Honczar...

Na te słowa kobieta pobladła i uciekła.

– Niech Okseń Honczar – kończył Tadeusz – w ten moment wybiera się w drogę; ma on konie?

– A ma, panie, i jego najlepsze.

– Pojedzie z waćpanem do Berdyczowa<sup>17</sup>, wszak potrzeba ci jednej furmanki?

– Miałem wziąć dworskie folwarczne konie.

– Właśnie dlatego dysponuję go: konie te będą mi potrzebne. Ich podobno kilkoro tam w chacie?

– Tak, panie.

– Więc on może jechać?

– Może, panie.

– Proszę tak zrobić, jak mówiłem.

Ekonom wziął ten rozkaz za dziwną chimerę politowania dla folwarcznych koni i odszedł. Ale i Ulany już nie było. Tadeusz stał we drzwiach i czatował. Wyszedł potem do ogrodu, wiedział, że tam czasem od strony jeziora wieszano chusty, brano wodę. Nigdy w życiu nie zastanawiał się nad tym, gdzie i jak co w domu jego się robiło, teraz wszystkie szczegóły przychodziły mu na myśl.

Zszedł na jezioro, tu w istocie stała Ulana, ale zamyślona, ze zwieszonymi rękoma; nie widząc go ruszyła ramionami, potrząsnęła głową, rozmawiając ze swymi myślami.

– No, już będziesz na czas od niego wolna.

Ułana odwracając się krzyknęła.

– Mąż twój dziś wyjedzie – dodał Tadeusz.

– O, da on mnie za to!

– Skądże wiedzieć może?

– Kiedy najmniej wie, najwięcej się domyśla – odpowiedziała dworka.

– O czymżeś to tak myślała, kiedym tu przyszedł?

– Czy ja wiem.

– Pewno nie o mnie.

– Czyż to mnie o panu myśleć?

– A czemuż nie, kiedy ja myślę o tobie.

– O mnie? – spoglądając mu w oczy zapytała kobieta. – A toż dlaczego?

---

<sup>17</sup> Berdyczów – miasto w województwie kijowskim, słynne z wielkich jarmarków, leżące daleko od Polesia.



– Ja sam nie wiem – odpowiedział naiwnie Tadeusz – ale... ale, gdym cię zobaczył, odtąd... ciągle mi się snujesz po myśli.

– Ja?! Krzyż na mnie! Pan by myślał o mnie?

– Zdaje mi się, że cię kocham, Ulanko... ale nie po waszemu, nie po chłopsku i nie po dworsku, ale tak, jak to kochają po pańsku.

I zbliżył się, wziął ją wpół i chciał pocałować, ale ona przestraszona się wyrwała i zawołała po rusku żałośnie:

– A moje dzieci!

– Ty masz dzieci?

– Mam – odpowiedziała cicho – dwoje maleńkich niebożąt.

– Lecz dlaczego boisz się o nich – rzekł zbliżając się znowu. – Czyż ja im co zrobię, czyż twój mąż im co zrobi?

– O! – odpowiedziała smutnie Ulana – ja słyszałam o tym kochaniu, to zawsze się biedno kończy, a moim dzieciom będzie źle.

– Śmiej się z tego, Ulano – rzekł Tadeusz rozgarniając włosy na czole, jakby z nimi chciał myśli rozgarnąć. – Na cóż to złe na końcu?

– Kiedy kto komu przysiągł w cerkwi, a ksiądz pobłogosławił, koło ołtarza oprowadził i razem krzyż całowali, i z jednego kubka pili, o! to nie dobrze złamać przysięgę... i zły koniec zawsze.

Tadeuszowi wymowy nie stało.

– Słuchaj, Ulano – rzekł obejmując ją gwałtownie – dzisiaj twój mąż pojedzie. Jest kto u was więcej w chacie?

Ona milczała ponuro.

– Cóż to, nie chcesz mi odpowiedzieć? Więc się spytam ekonoma, żeby się cały dwór domyślił, dlaczego.

– Jest u nas kilkoro w chacie – zawołała szybko Ulana podnosząc oczy – parobek, dziewczyna, dzieci. Ale na cóż to panu?

– Słuchaj – rzekł Tadeusz – ja dziś u ciebie będę.

To powiedziawszy i nie chcąc wiedzieć i słyszeć odpowiedzi, odwrócił się nagle i poszedł do domu; mimowolnie tylko raz się odwrócił i ujrzał, że Ulana, stojąc na miejscu, końcem fartucha łązy ocierała.

## V

Nadszedł wieczór i noc; Tadeusz, który ludzi do swoich dziwactw przyzwyczał, wyszedł po cichu z domu nad jezioro. Noc była czarna, we wsi światła pogasły, świeciło się tylko w karczmie i odbite światło okna połyskiwało na wodzie spokojnego jeziora. Czasami słychać było oddalone gdzieś podwórzowych psów naszczekiwanie; szmer wody, co się do snu kołysała, i pisk żurawia od studni poruszanego wiatrem, i pianie kogutów, i ryk urwany bydła w oborach. Głosy te na milczącym tle nocy wydawały się jak jaskrawe obrysy na ciemnym obrazie.

Z biciem serca, które zawsze każdej podobnej sprawie towarzyszy, Tadeusz siedł brzegiem jeziora zamyślony, w głowie jego przewracało się, biło, łamało; był to huk niepojęty myśli i krwi przebiegającej żyły ognistą falą, zęby szczękały, ręce drżały, czoło zimnym potem się zwilżyło. Nie spostrzegł, jak się znalazł blisko karczmy, mimo której przechodzić było potrzeba, ażeby od dworu przejść do wsi. Szczęściem nikogo nie było przed karczmą już prawie uspioną, w której tylko głos bachura jeszcze się odzywał. Noc tak była czarna!

Nie zważając na błoto, na kałuże i doły, szedł Tadeusz do chaty, którą znał dobrze. Dzieckiem jeszcze z niańką przebiegał nieraz wieś, znał każde drzewo. Każdą kładkę, studnię po ciemku poznawał. każdy przystronek<sup>18</sup> i pewien był, że się nie omyli.

Lecz gdy zbliżył się do chaty, tak był pomieszany jak złodziej – bo i on, jeśli nim jeszcze nie był, chciał już nim być przynajmniej. Stał, słuchał – wkoło była cisza – podniósłszy oczy ujrzał kogoś w bieli stojącego na progu. I ten ktoś, i on – zarówno po ciemku – uczyli się, usłyszeli, zobaczyli przecuciem.

Tadeusz odkaszlnął – postać w bieli przytuliła się do drzwi, on milczkiem się do niej posunął. Ufał w swoje położenie pana i w zepsucie kobiety – rachował na to, że nie była czystą! I cóż to za rodzaj rozkoszy chciał tam znaleźć!!! O! niepojęte serce ludzkie, któż cię kiedy zrozumiał, gdy bijesz żądzom ciała?

Tadeusz zbliżywszy się poznał łatwo, że postać w bieli była Ulana.

– To ty?

– Kto tu?

– To ja.

– Pan... pan – niespokojnie powtórzyła kobieta, poruszając się z miejsca – pan przyszedłeś. Po co? Na moje nieszczęścia, na moje łzy, na biedę? Pan... ach! Idź pan sobie, idź!

– Iść kiedyś ty mnie czekała na progu – odrzekł z uśmiechem Tadeusz – miałbym tak odejść?

– Czekałam! Prawda – odpowiedziała Ulana – czekałam umyślnie, żeby uprzedzić, żeby nikt pana nie widział, żeby uprosić, żebyś nie wchodził. Krzyż na mnie nieszczęśliwą! Panie! Panie! Ja nie jestem taką, jak myślisz. I to wasze kochanie – dodała – a! To gorzej nienawiści!

Tadeusz zdziwiony stłumionym, łkającym głosem tej kobiety, w którym się oburzenie wyżyło silnie, stał, nie wiedząc, co począć.

– No, no, Ulano – rzekł pomieszany zbliżając się – chodźmy do chaty! Czego się boisz?

– Do chaty! po co? Żeby nas widzieli, żeby słyszeli, żebym ja była nieszczęśliwa, żeby – zaczęła płakać. – Pan Bóg by mnie pokarał na dzieciach, na domu, na dobytku, na chlebie.

---

<sup>18</sup> Przystronek – kącik.

– Chodźmy, chodźmy, Ulano – nastawał Tadeusz – Pan Bóg , jeśli ma karać, to mnie tylko ukarze.

– Krzyż na mnie, panie, nie pójdę, nie chce, nie pójdę! Krzyknę i cała wieś zbudzę! zawołam wszystkich! Idź pan... idź!

– Chcesz więc – zawołał Tadeusz zgrzytając zębami – żebym się mścił, żebym cię zmusił...

– A cóż mi pan zrobisz? – spytała. Każesz bić? czyż i tak mnie nie biją? Odbierzesz chleb? I tak go niewiele, a dzieci małe, w rekruty nie oddasz.

Tadeusz posepnie się zamyślił, jeszcze raz chciał przystąpić ku niej, ale kobieta błysnęła w ciemność nożem.

– Ostrożnie – rzekła – ja mam nóż.

On osłupiał.

– Myślałeś pan może – mówiła – że dlatego, żem piękna, to już wiary i serca nie mam, i Boga nie znam? O! – i roześmiała się drżącym głosem cicho a smutnie. Śmiech to był gorzkim łzom równy. – Idź pan, gdzie indziej znajdziesz sobie drugą i trzecią, i dziesiątą... ale nie mnie! Idź pan! Gdyby kto nadszedł, musiałabym krzyczeć i wstyd by było.

– Więc nie chcesz mnie i mojego kochania? – szepnął Tadeusz pół szyderczo, pół gniewnie.

– O! czyż to kochanie? – spytała. – To, o którym mi się śniło, dumało, o jakim w piosence śpiewają, a na wieczornicach gadają... pańskie kochanie, królewskie, czuję, insze jest wcale. Tamte, tamte! O! nie dla nas biednych, nie w chacie go szukać.

– Osobliwsza kobieta – rzekł sam do siebie Tadeusz. – Dobranoc, Ulano.

A ona szydersko odpowiedziała mu z cicha:

– Dobranoc.

On stał jeszcze i nie wiedział, co począć z sobą; ona znikła; pełen wstydu powolnie powlókł się nazad, powtarzając: osobliwsza kobieta.

## VI

Nazajutrz rano wybiegł w las, rozbierając jeszcze w myśli wczorajszą swoją przygodę, wstydził się sam przed sobą i żałował swojej nocnej przechadzki. Postępowanie tej kobiety siedziało mu w sercu jak niepojęta zagadka. raz myślał, że to było udaniem zręcznym, to znowu usiłował pojąć cnotę kobiety w stanie, w którym zwykle wyobrażenia jej nie mają, a pańskie zaloty uważają za pociechę i pożądany wypadek niż za postrach i nieszczęście.

– Boi się męża i wszystko w tym – w sobie i znowu, przypominając rysy jej twarzy, jej wzrok, którego niepojęty wyraz tak źle się godził z szarą jej świtą, zdawał się przewidywać, że ona nie powinna być sądzona jak inne tej klasy kobiety ogólną regułą zepsucia, strachu, obojętności. była to może perła zamieszana w błocie, lecz jakim sposobem blask jej i pozór miła? Jakim sposobem taką twarz, taką duszę dał Bóg takiej kobiecie w tym stanie? Jakim sposobem otaczające, oblewające ją zepsucie nie tknęło dotąd? Jaki anioł strzegł młodości?

Tego ani Tadeusz ani nikt na jego miejscu wytłumaczyć by sobie nie umiał.

Z fuzją na ramieniu szedł powoli w las. Był to dzień świąteczny, wiele ludzi spotykał za grzybami i jagodami chodzących; z daleka już w borze śpiewy i hukania się rozlegały. Spoglądał niespokojny – między tymi migającymi postaciami szukał Ulany. Kto wie, czy nie z tą myślą wyszedł z domu?

I myśląc, i idąc, gdzie nogi niosą, zapuścił się w gęstą knieję, za którą było błotko i stara, odwieczna mogiła, na której zwykł być spoczywać. Machinalnie i pan, i wyżeł drapali się drożyna przez nich podobno samych tylko wydeptaną do mogiły dwóch braci. Tak ją nazwało podanie.

Leżała ona otoczona najgęstszą knieją podszytą leszczyną, ożynami<sup>19</sup> i gęstymi zaroślami; nikt prócz strzelca tam nie chodził, a i ten rzadko zaglądał, bo trzeba było albo duży kawał krążyć, albo brnąć przez kępiaste błoto, żeby dojść do wzgórza, na którym usypana była mogiła. Podanie ludu mówiło, że się tam dwóch braci ścinając sosnę, zabili. Miano więc to miejsce za straszne i zakłęte, nikt się tam nie zapuszczał, nikt tam nie chodził, nawet pobereźnicy<sup>20</sup> je okrążali żegnając i choć jest zwyczaj powszechny rzucania gałęzi na takie mogiły, tu ich prawie nie było – nie było komu ich rzucać.

Różne bajki prawiono na wieczornicach o tym miejscu, prawie wszyscy jednak zgadzali się na to, że miejsce było zakłęte, nieszczęśliwe. Niektórzy dodawali, że z dwóch braci jeden kochał i żył z żoną brata, a drugi wiedział to i pozwalał, bo się lękał i żony wiarołomnej, i złego brata. Bóg ich za to pokarał. Inni powiadali, że sosnę ścinali w niedzielę; inni, że brat zabił brata, a zabójcę przywaliła sosna, ale wszyscy powtarzali, że miejsce straszne i nieszczęśliwe.

Drapiąc się do tej mogiły, Tadeusz z jakimś przestrawieniem oglądał się, czy nie ujrzy gdzie duchów pobitych braci, o których jeszcze od niańki swej słyszał. Pies jego wąchał po ścieżce biegnąc, zwracał się w stronę, podnosił głowę, naszczekiwał, warczał i stawał. To zdziwiło Tadeusza, któren tłumaczył sobie niespokojność wyżła tym, że ktoś chodząc za grzybami, aż tu się musiał dostać, może zbłądziwszy.

Nareszcie wydarli się z gęstego lasu i uszedłszy brzegiem mokrej łąki kilkadziesiąt kroków, zbliżył się do mogiły, podniósł oczy. Na wierzchołku siedziała Ulana; na kolanach sparła rękę, na rękę głowę, plecy o drzewo, oczy patrzyły gdzieś daleko za las, na góry.

<sup>19</sup> Ożyny – jeżyny, ostrężyny, czarne jagody.

<sup>20</sup> Pobereźnicy – (z ukr.) Strażnicy pilnujący lasu.

– Znowu ona! – zawołał stawając Tadeusz. – Ty tu? – dodał głośniej.  
 Ulana się porwała.  
 – A! – krzyknęła – przynajmniej tu myślałam, że mnie pan nie znajdziesz.  
 Chciała uciekać. Pies rzucił się za nią, przykłęła, stanęła, a Tadeusz się zbliżył.  
 – Czego uciekasz? – rzekł, powolnie, udając obojętną spokojność – przynajmniej tu nie boisz się nikogo.  
 – Was, panie – odpowiedziała prędko.  
 – Jam , Ulano, ani chłop, ani dworak, ani cię bić, ani ci gwałtu robić nie myślę...  
 – Nie? – spytała usty i oczyma. – Pewnie nie?  
 – O! nie – odpowiedział Tadeusz – gdybym cię kochał, to nie tak jak oni.  
 Kobieta się ośmieliła.  
 – I nie tak, jak mąż twój, a tak , jak cię jeszcze nikt nie kochał; o takim kochaniu tyś nie słyszała nawet...  
 – A potem cóż by było? – spytała się bawiąc końcem fartucha  
 – Nic – kochałbym cię długo, zawsze... do śmierci.  
 – O! Ja też wiem, że w takim kochaniu śmierć być musi na końcu, śmierć koniecz-  
 nie.  
 – Ale któż myśli o śmierci!  
 – Czyż ja nie wiem? Ile razy słyszałam w piosneczce, w skazce o takim kochaniu,  
 zawsze tam były na końcu mogiły i śmierć.  
 – I, nie wierz temu, Ulano, można się kochać, a nie umrzeć dlatego.  
 To mówiąc Tadeusz, który już stał przy niej, wpół gwałtem posadził ją przy sobie,  
 objął ręką. Ona tak się zamyśliła, że się prawie zapomniała bronić, nic nie mówiła,  
 lecz gdy się zbliżył, aby ją pocałować, odsunęła się dopiero i rzuciła wstawać.  
 – Nie bójże się – rzekł Tadeusz – pozwól mi choć popatrzeć na siebie.  
 Ze śmieszną skwapliwością dziecka Ulana podniosła na niego cudne swoje oczy i  
 tak na niego patrzyła, że Tadeusz nie wiedział, czyli w istocie mógł to być wzrok pro-  
 stej kobiety. Ten wzrok zdawał się mówić tyle i tak dziwnych rzeczy, tyle nadziem-  
 skich wyjawiać tajemnic, tyle obiecywać szczęścia, tyle zamykać dumań o przyszło-  
 ści!

Spotkał z was kto kiedy taki wzrok cudowny przy siwej, prostej sukience kobiety,  
 która jednym tylko wzrokiem była aniołem, a resztą ciała i duszy kucharką? Nie jestże  
 to męczeństwo patrzeć na ten posąg zwiastujący piękną duszę, a nie mający jej; ten  
 wzrok powiadający tyle rzeczy, których usta powtórzyć nie potrafią. Tak kobieta – to  
 potwór straszny.

– A, moja Ulano – rzekł do niej z cicha, oczarowany jej wejrzeniem – to kochanie,  
 o którym słyszałaś, to słodkie kochanie, jemu dość widzieć kochankę, dość dotknąć  
 ręki, dość do ust się przybliżyć.

Kobieta czując, jak ją brał za rękę, obłąkana, z uśmiechem spojrzała na niego – w  
 tym wejrzeniu był przestach i poddanie się prawie, ale poddanie ze strachu, nie roz-  
 myślnie. Tadeusz poznał przestach jej, puścił rękę, którą tylko dotknął, i wlepił w nią  
 oczy. Dotknięcie szorstkiej, spracowanej ręki, która pod jego dłonią zadrzeć nie  
 umiała, mogło go było odczarować. Patrzył – ona już spuściła oczy, mimo jej prostoty  
 uczuwszy, co było w jego wzroku namiętnego, straszego, jaka burza wrzała pod  
 uśmiechniętą powieką.

– Chcesz ty mnie tak kochać? – spytał po chwili.  
 – Ja? O! panie, czyż to być może?... ja biedna, ale...  
 – Ale cóż?  
 – Można szczerze powiedzieć?  
 – Szczerze, najszerzej, co chcesz?

– Szczerze... ja nie wiem – odpowiedziała zasłaniając oczy – pan mnie oczarował, ze mną się coś dzieje, czego nigdy w życiu nie było. Mnie się zdaje, że ja się budzę, że mnie już dawniej, kiedyś kto kochał tak samo, że nie jestem Honczarychą. Honczarychą! – powtórzyła wzdychając – biedna ja! Krzyż na mnie! z dwojgiem dzieci... z ubogiej chaty. A czyż pan mógł taka nędze pokochać? A mąż?

– O! to co innego – z przymuszonym uśmiechem dodał Tadeusz.

– Co innego? I takie kochanie to nie grzech? – spytała naiwnie.

– O, nie grzech pewnie! A będziesz mnie kochać, Ulano?

– Czy ja wiem! Czy ja wiem!...Mnie się tylko coś niepojętego dzieje, jakoś smutno, miło, straszno... Boję się już, żeby pan mnie nie porzucił, strach myśleć na jutro. A i samego pana tak mi czegoś straszno!...

– Czegóż się mnie bać możesz? Ja ciebie tak kocham...

– A, panie, to kochanie to na godzinę tylko... ja wiem, ja słyszałam, ja myślę, że pan prościej jak ja kobiety kochać nie możesz. Dziś, jutro porzuciłbyś! Czy ja to umiem, co pan, jestemże pięknie ubrana jak wasze panie, jak ekonomowa, jak popadia i księdzówny? O! One to piękne... a ja?

– Tyś sto razy piękniejsza w tej świecy, Ulano, nie lękaj się o to, dałyby one wszystkie swoje krasne stroje za jedno twoje oczy. I na cóż bym kłamał, gdybym cię nie kochał?

– Czemuż nie? Panom to wolno: at, pobawić się... i porzucić.

– Nie ja bym to zrobił, nie ja bym cię zwodził, o! nie – odparł z oburzeniem Tadeusz, którego samotność, wejrzenie tej kobiety i mowa jej nawet egzaltowały coraz bardziej.

– Kiedyś pan mógł myśleć, że ja pana mogła puścić w nocy do chaty, czyż nie możesz pan myśleć, że mnie wolno zwieść i oszukać?

– Ja ciebie wówczas nie znałem, Ulano, nie wiedziałem kto ty była... poznałem dopiero...

Ulana westchnęła.

– A! do czego to wszystko! Na co to mam! Na co mnie pan zobaczył i uczeplił się do mnie. To na moje nieszczęście pewno. Krzyż na mnie! A mąż, a ludzie... któż bo tego nie zobaczy?

– O! bądź o to spokojna, Ulano – zawołał uradowany Tadeusz cisnąc się do niej i przytulając ją ku sobie – nie bój się... ja...

Chciał mówić, ale kobieta nagle jak błyskawica porwała się i nie oglądając pobiegła w las; a nim Tadeusz wstał, już nie czas było gonić, bo świta jej znikła w gęstych krzakach otaczających mogiłę.

On stał na mogile...

– Co to jest? – Mówił do siebie oparty na strzelbie, z oczyma wlepionymi w ziemię.

– Co to jest? Na czym się to skończy? Miałażby to być miłość... w sukmanie! Dziwna, niepojęta, bezrozumna dla d z i k i e j kobiety! To niepojęta! Skąd jej te oczy, skąd jej ta twarz? Skąd jej ten uśmiech? Czemuż przynajmniej nie jest wolna dziewczyną. O! wówczas niechby sobie świat gadał, niechby się śmiał i szydził!

Westchnął i potarł ręką po zmarszczonym czole.

– Co ma być, niech będzie! Jam oszalał!

To mówiąc rzucił gałąź ułamana na mogiłę wedle zwyczaju i powoli pociągnął za psem do domu.

## VII

Tadeusz nie mógł się zrozumieć, nie mógł pojąć, co się z nim stało; widząc wewnątrz siebie odmianę, kiedy jej przyczyny na myśl przywodził, prawie nie wierzył sam sobie.

– I cóż jest takiego w tej kobiecie – powtarzał sobie, czując się niespokojnym – piękna? Ale tyleż widziałem pięknych, a żadna mnie nie zajęła. Bo zresztą jest to dzieć Polesia, bez myśli, bez mowy.

A jednak, gdy to mówił i przypominał wzrok Ulany, czuł, że jej wejrzenie zastąpić mogło i mowę, i myśli, często pożyczane, innych kobiet, które wychowanie tylko i świat wygładziły na lalki.

Niespokojny terażniejszością dziwną, już prawie nie żałował i nie wspominał życia przeszłego, lecz roił jakieś przyszłe.

Jakież? sam jeszcze nie wiedział. Jakież bowiem mogło to być życie? – Z prostą kobietą, którą od niego mąż, stan i cały świat oddzielał, świat innych wyobrażeń, niższy o tyle od tego, z którego zszedł Tadeusz. Marzył wszakże o niej i prawie się spodziewał, że od niej szczęście dla niego przyjść miało. Patrząc na niego można by po setny raz powtórzyć z angielskim poetą: serce – przepaść niezgłębiona.

Przywykły postępować wedle swej woli, nie pomyślał oprzeć się rodzącemu uczuciu Tadeusz, przytłumić je wyjazdem, roztargnieniem. Rzucił się w nie prze próżniactwo, prze niedbalstwo, nie usiłując się nawet wyrwać z niego. Jeśli nieraz samotność młodym bywa użyteczna, jakże to często oderwanie się zupełne od świata bywa zgubne i wiedzie do zdziczenia!

Tadeusz, dawniej zagorzał się myśliwiec, bo myślistwo było jego jedynym zatrudnieniem i rozrywką teraz bał się odejść od domu, żeby nie stracić z oczu Ulany, która często do dworu zabiegała.

Czasem błądził po wsi wybierając chwilę, kiedy wszyscy byli w polu, szpiegował, chodził. Lecz Ulana unikała go. Któż tam wie i pojmie, co się z nią działo.

Te kobiety tak mało mają swobodnego czasu, tyle im chwil praca zajmuje, tyle kłopotów wisi nad nimi w chacie, tyle cielesnego trudu, że niepodobna im prawie myśleć nad sobą.

Człowiek musi mieć trochę swobody, żeby umysłem żyć zaczął: praca ręczna powoli zabija w nim duszę. Lecz próżnujący Tadeusz, którego całym zatrudnieniem były myśli tylko, w swojej głowie najdziwniej marzył, a prześladowany wzrokiem Ulany, niepojętym prze niego samego wzrokiem, szukając go wszędzie, pragnąc, nieustannie błądził, aby się z nim spotkać.

I myślał sobie:

– Tyle ją otacza i widzi, tylu ludzi, czemuż nikt tego w niej nie dojrzał, co ja? prawda, że to są inni, daleko inni ludzie, ale zdaje się, że siła tego wzroku powinna by duszę obudzić w umarłym.

Potem żałował Ulany, że była Honczarycha tylko, że musiała pracować razem z bydłem i tyle, co bydło – chciał ją wywieść z tej niewoli trudu. Ale jakim sposobem? Cała wieś by to spostrzegła, a ona sama, czy kosztem spokoju domowego chciałaby trochę swobodniejsze życie okupić? O! pewnie nie.

Tymczasem, gdy się to dzieje, Okseń, mąż Ulany, jedzie do Berdyczowa, a Tadeusz, co dzień to tu, to tam ją widząc, zbliża się do niej powoli, oswaja ją z sobą i myślą grzechu. Wstrzymywać siebie i cofać się już nie chciał, a kiedy sobie mówił, że taka miłość dla takiej kobiety była szaleństwem niepojętym, że ona jej uczuć nie potrafi ani

ocenić, co on dla niej zrobi i czyje – namiętność nieprzekonana<sup>21</sup>, uznając się szaloną, szła dalej, a szła całe odmienna drogą, nie tą, jaką by inna wyznaczyła dla pana, którego polubił wieśniaczkę.

Nareszcie – obejrzeni się, spostrzegli wszyscy. Tadeusz zmienił sposób życia, obyczaje, widziano go rozprawiającego z Ulaną, często przechodzącego przez wieś; pierwszy stary ojciec Ulany kiwnął głową podpatrzywszy raz, jak pan za nią wiódł wzrokiem upartym.

Stary Lewko poszedł do chaty i usiadł zamyślony, zmarszczony nad stołem. Ubodło go to odkrycie, ale nie śmiał nic mówić nikomu: przyszedł na myśl nagły wybór Honczara w podróż – stąd powstały domysły, a z domysłów smutna rozważa, co z tą bidadą począć.

Chłop poleski mimo codziennych przykładów niewiary żon i córek drażliwy jest na to; nie mogąc się mścić na panu będzie się mścił na żonie; a bieda nawet panu, jeśli go do ostateczności przywiedzie. Wówczas zrozpaczony podłoży ogień pod tok<sup>22</sup> i dwór, a sam uciecze. Jeszcze jednak stary Lewko nie był tak pewien swego, a gdy już dumać o zemście. Czarne tylko myśli uwijały mu się po głowie. Poszedł do karczmy, po drodze spotkał ojca Oksenia, starca drżącego, wlokącego się o kiju, co już na łasce syna żył w chacie – powiódł go z sobą do karczmy.

Tam w kącie za stołem, nad kwartą posadziwszy starego, Lewko jął go wypytywać.

– Widziałeś ty kiedy pana w swojej chacie?

– Mówili, że raz przychodził się wody napić. Albo co?

– Nic, ot tak... a często Ulana chodzi do dworu?

– Jak zawsze; albo co?

– Nic... a nie widziałeś kiedy pana włóczącego się koło waszej chaty?

– Czasem.

Lewko się podparł i zamyślił.

– A nie nocowała Ulana we dworze?

– Nie, nigdy. Cóż to, ty myślisz co złego na córkę?

– Nic, stary, ale się boję, pan młody, ona piękna, a diabeł nie śpi.

– I, dajcież pokój panu. czy jemu to w głowie, on z fuzją a z psami; aby po lesie włóczyć się, to jemu dosyć!

– Oj, nie! bat'ku, nie! Coś ja widzę, coś ja myślę, a ja nie myślę na darmo. Nie gadajcie tylko przed nikim, ale mnie się zdaje, że oni się z sobą znają.

– Tać Ulana służyła we dworze, a nigdy tego nie było, a teraz, kiedy sama gospodynią w chacie i z dziećmi, żeby jej dur na głowę przyszedł?

– A pamiętacie wy Nastkę Prokową – rzekł Lewko.

– Ooo! A cóż! Pamiętam!

– Żyła lat pięć z mężem, a ekonom ja potem zbałamucił. Prokop dał jemu w lesie w skórę, złapawszy go z żoną. Ekonom nazajutrz oddał we dworze na pańszczyźnie we dwoje, a potem...

– Prokopa oddali w rekruty.

– A Naścia była gospodynią u ekonomy, a dzieci zostały sierotami na wieki.

– A cóż? prawda! Ale Ulana nie taka, o! nie taka. I pan także.

– Pan! Pan! To gorzej ekonomy. Cóż jemu zrobić? Co jemu powiedzieć? Trzeba cierpieć! Bo i uciec nie można, i na dnie w piekle teraz znajdują, a potem rekruty albo nędza gotowa.

– Ale kiedy tego nie ma, a Ulanie to nie w głowie.

---

<sup>21</sup> Nieprzekonana – niepokonana.

<sup>22</sup> Tok – tu: stodoła.



- Daj Boże, daj Boże! Do was, kumie!
- Do was. Dobrego zdrowia!
- Na zdrowie wam!
- Na zdrowie!

A potem już podchmieleni starzy zaczęli długo swoją nędzę i utrapienia wywodzić – aż na stole posnęli. Ale gdy się Lewko przedrzymawszy obudził, przyszło mu wszystko na myśl, potrząsnął za rękę starego ojca Oksenia, bo już noc była i czas do chaty powracać.

Przebudzony stary włókł się po cichu błotnistą ulicą, rozmyślając o tym, co mu Lewko nagadał. Ale trzęsąc głową nie wierzył temu i oziębły, przywykleszy, obyty ze wszystkim, nie tak brał wstyd swego syna i hańbę synowej, jak tamten. Owszem, gdyby tak było nawet, nie widział nic bardzo złego. Tak wpół myśląc, wpół jeszcze drzeмиąc, doszedł do drzwi. we drzwiach spotkał Ulane ubraną jak do wyjścia; miała na sobie świętę, trzewiki niedzielne, pończochy, biała chustę na głowie, przepasana paskiem kolorowym.

Stary ujrzał to, choć po ciemku, i zastanowił się w progu.

– Czyżby to prawda była? – pomyślał i spytał:

– Dokądże to po nocy, Ulano?

– Do ekonomowej – odpowiedziała śmiało kobieta – przyszła po nie, bo jej dziecko słabe, trzeba popilnować.

– Masz ty swoje w chacie.

– Jest przy nich Pryśka.

– Pryśka nie matka – odpowiedział stary wchodząc we drzwi. – Ale idź z Bogiem, kiedy chcesz.

Obejrzał się jeszcze i poszedł natuliwszy czapkę na uszy. Ulana ruszyła ramionami pobięła do dworu.

Ale nie szła do ekonomowej. O! nie! Już nie pierwszy to raz na zawołanie pana bie-gła z nim w las lub do ogrodu i uplątana w tę miłość pańską, o której tyle w piosenkach słyszała, zapomniała już dzieci, chatę, męża, wstyd, bo kochała pana. Jak się to stało? Skąd to przyszło? – sama nie wiedziała – płakała czasem nad sobą, a szła do niego i poświęcała swój spokój, wszystko swoje, za trochę szalu, którego połowy lepszej nie pojmowała, słuchając go jak dalekiej pieśni, co ja wiatr rozerwaną, a jeszcze piękną do uszu przynosi.

Z nim razem całe noce w ogrodzie albo w gęstwie lasu ukryta przesiadywała i milcząc rozmawiali lub niewielką słowami, a w tej rozmowie tyle było rzeczy. Byli szczęśliwi! – szczęściem jakimś osobliwszym, niepojętym, potwornym, do którego jedno się wysoko wspinać, drugie nisko upaść musiało. A jednak było to szczęście, nie chwilo-we nasycenie, nie przemijający szal: oboje to czuli i na próżno Tadeuszowi szyderski rozum wskazywał jutro odmienne, to jutro było jeszcze dalekie. Szczęście to było, choć za nim świeciły burze, choć w nim były lzy i niepokój, i poniżenie.

Ulana przy panu zdawała się pojmować sercem gorącym, co do niej mówił Tadeusz, często słowy i myślami z innego wcale świata; choć co tylko niezrozumiałym być mogło, on zniżał się do niej i miłości swej formy do pojęcia prostej wieśniaczki stosował.

Było coś dziwnego w ich rozmowach nocnych, w ich zbliżeniu do siebie, w poufałości; lecz wdzięk wejrzenia, uśmiechu Ulany, żywe jej pojecie, miłość co dzień wzrastająca – tłumaczyły ich położenie.

Tadeusz chętnie przy niej zapominał wszystkich dawnych poezj i marzeń swej duszy, wszystkich innego świata przyjemności – wszystkiego, co się w jego terażniejszą nie mieściło sferę – żył tylko ta osobliwsza sielanką, w ciągłym odurzeniu, nieustan-

nym pijaństwie bez wytrzeźwienia. Rozum coraz się rzadziej z szyderstwa odzywał, pobity padł i milczał.

Tak płynęły dni, noce, wieczory, tygodnie i już wieść o tym coraz się stawała we wsi głośniejsza.

Pan o tym nie wiedział, a Ulana? Już o to nie dbała. Ona go kochała!

## VIII

Po kilku tygodniach wrócił nareszcie Okseń z Berdyczowa; przyjęły go dzieci okrzykami, starzy ściśnięciem ręki, wszyscy obstąpili jego wóz dookoła i pytali nowiny, on nawzajem. Sam arendarz, ciekawy ceny wołów, wyszedł ku niemu założywszy w tył ręce.

Opodal stali Lawko i Ułas, ojcowie – i patrzyli po sobie, czy mu coś powiedzieć, czy nie; stała i Ulana, ale błąda, bez pamięci, bez wiedzy, co robiła; trzymała biały fartuch pod brodą w rękę i spoglądała na męża, ale tak, jakby go nie widziała, jakby gdzie indziej zupełnie była myślami i duszą

Przyjazd Oksenia obudził w niej zgrzyoty, przestraszył, przerwał słodką już przedce kilku dni, kilku nocy z Tadeuszem spędzonych. Kobieta myśląc, jak przyjdzie to porzucić i wrócić znowu do swojej chaty, do męża, do dzieci, a lubego nie widzieć, nie kochać i nie siedzieć z nim swobodnie długich wieczorów, płakała krwawymi łzami w duszy, bo oczyma nie mogła – wszyscy na nią patrzyli.

Stary Honczar, obaczywszy dzieci, którym dał po jabłku, dowiedziawszy się o dobytku, dawszy żonie chustkę na gościniec przywieziona, nie troszczył się już więcej i poszedł z dwoma starymi, z ojcem i teściem, do karczmy. Do nich przyłączył się młody Pauluk, brat Oksenia, który najbaczniej, niejako z tradycyjnego obowiązku, strzegł Ulany i najlepiej wiedział o wszystkim, a najpilniej o tym chciał uwiadomić Oksenia.

Gdy oni wszyscy szli do karczmy, widząc ich twarze ponure, ich milczenie znaczące, Ulana domyśliła się, do czego to zmierzało, uczuła burzę bliską; płacząc ukradkiem, ścierała ławy i stoły, stawiała u okienka i patrzyła za odchodzącymi, myśląc, co będzie, jak przyjdą. Wiedziała ona, że Puluk i Lewko powiedzą mężowi o wszystkim. Spodziewała się jednak z zarzutów wytłumaczyć, jakkolwiek nie mając nadziei, aby się obeszło spokojnie, bez łajania, gniewu, a może i bitwy. A jej tak było dziwno już pomyśleć, że ją ktoś bić i łajać może, ona się już tak rozpieściła, tak spaniała, że nie pojmowała, co pocnie, jak wytrzyma.

Nasi podeszli do karczmy, siedli za stołem, a póki arendarz wypytywał Oksenia o nowiny berdyczowskie, milczeli, lecz gdy wyszedł i zostali sami, Lewko się pierwszy odezwał:

– No, synku, my tobie to żonki pilnowali, musisz za to taki kwartę postawić.

– Dobrze, niechaj kwartę – rzekł śmiejąc się Okseń – ale pilnowaliż wy jej bardzo?

– O! jak mogli – odezwał się Pauluk – ale, bracie, kto kobiety ustrzeże, to na pajęczynie się powiesi.

Okseń spojrział mu w oczy i szare jego źrenice zapalały.

– Albo co? – spytał ściskając zęby.

– At, bieda u nas w domu.

– U mnie?

– A cóż? Wiesz ty, dlaczego jeździłeś do Berdyczowa?

– A no?

– Bo pan z twoją żoną zna się.

– Pan? Co ty gadasz? Nasz pan?

– Tak. A cóż? Ona do niego raz wraz chodzi.

Okseń uśmiechać się zaczął

– Coś ty się skręcił, zwariował czy co? Nasz pan?

– Ale, pan – rzekł Lewko stary – już to my tego zaraz po twoim odjeździe dopatrzyli. Z początku to było ni siak, ni tak, ale teraz już Ulanie kiepsko w chacie, już jej nudno, raz wraz wylatuje.

– Mówi, że do ekonomowej – odezwał się stary Ułas.

Okseń milczał.

– Ej, damże jej, dam – porwawszy się zawołał po chwili – jeżeli to prawda, a wszyscy wiedzą!

– Nikt nie wie – odpowiedział Lewko – my nikomu nie gadali.

– A jej czemuście nic nie mówili, nie zabronili, nie zatrzymali?

– O! a kiedy pan mądry, wszystkich roześle. tego tu, tego tam, trudnoż upilnować.

– Widzieliście ja z panem, pana w chacie?

– Nie.

– A kiedy tak, to łgarstwo i złość ludzka, Ulana nigdy by taką nie była.

– Nu, a teraz jest – odpowiedział żywo Pauluk – co my widzieli, to i powiemy. Po waszym wyjeździe Ulana chodziła w las za grzybami i widzieli ją, jak szła, a potem w chwilkę i pan za nią. Ja sam szpiegowałem ją, gdy szła do ekonomowej, weszła w pański ogród i tam znikła. A do folwarku nie przez dwór droga. Wczoraj w nocy stary Ułas zachorował, prosił wody; Pryśka wody przyniosła, a w komorze szukali Ulany, nie było. Mówiła znów rano, że po nią w nocy ekonomowa przysłała.

– A może i ona – odrzekł Okseń.

– Oj, nie, nie – rzekł Pauluk. – to nie to, dziecko ekonomów zdrowe. Oni mają służbę, po co im Ulana? Wszyscy dworacy widzą, jak się pan odmienił. Jakub dworak coś już przewąchał i śmieje się tylko, kiedy Ulane zobaczy. Nawet na folwarku gadają i ja sam słyszałem ekonomowę, jak mówiła cyrulikowi, że pan daleko teraz weselszy, a bodaj aby tylko nie wpadła mu w oko która kobieta ze wsi, bo gdzieś nocami chodzi, czego dawniej nie było.

Stary Okseń, który bledniejąc słuchał opowiadania, szarpał na sobie switę i oczyma okropnie wywracał, uderzył pięścią w stół łajac:

– Bodajby przepadła i z wami razem, Lewko, coście jej dopilnować albo wybić nie mogli, żeby poleżała z pół roku. Czy to nie mogliście rady dać? Czy to nie ma kijów w płocie albo różeg w lesie? Czy to wy nie ojciec, Lewo, albo wy Pauluku, czy to nie rodzony brat? Toście patrzali, a nic nie gadali i dawaliście jej broić? A jacy wy teraz mądrzy mnie to na głowę kłaść, jak byście beze mnie nic nie mogli. Albo i wy także, ojcie, albo to nie ma sposobu na takie rzeczy, albo to pierwszozna z złą kobietą rady sobie dać?

– Nie krzyczcie, no, nie krzyczcie – wyrzekł ponuro ojciec rodzony Oksenia. – Stary ja i siwy i wiem, co robić, a nie miałbym chyba rozumu, żebym ja bił i kaleczył, kędy ja jej nie wiedział i nie złapał. Kobieta wyłże się gładko, a nam trzeba wierzyć, bo i lepiej. Pan ,kiedy zły, straszny gorzej wilka, jak ów p o w i a d a ł ( przysłowie Litwy i Poleszuków). A i wy nie bądźcie głupi, synku, choć to i ty nie młokos, ale widział ja więcej na świecie od was i innych rzeczy, pamiętam, jak to bywało. A chcesz prawdy? gdyby to i tak było, tobie, synku, milczeć i cierpieć, bo będzie bieda.

– Będzie bieda! Mnie! – zawołał Okseń coraz tężej pijany. – Albo to ja się boję? A co on mnie zrobi? Wybije? Niechaj siecze choć na śmierć. W tydzień się skóra zagoi; w rekruty nie odda, bo nie przyjmą, zabić taki nie zabije. co on mnie zrobi?

– Oj, oj! Jakiś bo ty śmiały – odpowiedział rodzony ojciec – tak jak Żyd do psa na powrozie. A jak by wam przyszło pocierpieć, to byście powiedzieli, co ja: trzeba znośić i milczeć.

Lewko i Pauluk dobrze podpili, przerwali mu.

– Oj, ty, już bat'ku, krzywo gadasz, co ty chcesz, żeby my hodowali cudze, kukułczyne dzieci? Będziemy cierpieć wstyd w domu? Czy to na to rady nie ma? Co to, że on pan? A i ja człowiek, i ręce mam takie jak on!... Albo to nie ma ziela w lesie i ognia w piecu?

– Oj! To wy źle gadacie – rzekł sobie znowu ojciec. – Kryj Boże, kto usłyszy, pogubicie wy nas. Choćby nas pan ze skóry darł, na to on pan, a ty za jedno takie słowo pójdziesz, gdzie ciebie więcej twoi nie zobaczą... Milcz bo, milcz.

Okseń zerwał się od stołu i chwycił kija.

– Chodźmy do chaty! – rzekł – już nie wytrzymam, bo mi ręce świerzbią jak ją obłatać<sup>23</sup>, żeby rok leżała. Ja jej tego nie daruję!

A Pauluk ozwał się:

– Jutro, żeby się pan nie dowiedział, powiemy, że z drabiny spadła leżąc na dach.

A Lewko mruknął:

– Lepiej ja ją sam oćwiczę, bo ja ojciec, a mnie pan za to nic nie zrobi. Wam, jeśli, Okseni, skóra na grzbiecie nie świerzbi, nie tykajcie jej sam, bo czort baby nie upilnuje; pan się dowie i będzie źle.

Ale Okseń nie słuchał i szedł ku drzwiom, a drudzy za nim, tylko stary ojciec jeszcze go ciągnął za rękaw.

– Postój, Okseń, postój, pogadamy no jeszcze, nie spiesz się kij nie uciecze i żonka doczeka się swego. Siadaj no jeszcze, o tu, siadaj bo. Panie arendarzu, dajcie jeszcze kwartę na mnie.

Okseń na wspomnienie kwarty obrócił się jeszcze i siadł, a reszta także od drzwi odeszła. Tymczasem z alkierza z zakasanyimi po łokcie rękawami wyszła Żydówka, ocierając czoło fartuchem, a za nią krzyczący, w jarmulce z złożonymi galonami, wyleciał bachur.

– Czego wy chcecie?

– Jeszcze kwartę – odpowiedział stary.

– Nu, a macie pieniądze?

– Wy wiecie – odpowiedział stary – że ja płacę dobrze, a nie zapłacę, to jest miarka żyta jeszcze u Filipa, co mi ją winien za robotę, to oddam.

– Nu, nu! – I Żydówka poszła napełnić kwartę, a stary szeptał Okseniowi:

– Nie chwytaj się, synku, postój, trzeba czasem starego posłuchać. Daj ty pokój kijowi i milcz. Lepiej złapać Ulanę na czym innym i za co inne go niby ukarać.

A Lewko dodał:

– Także to moja rodzona córka, a ja jej nie żałuję, co wy jej będziecie żałować. Czy ona warta tego, kiedy sama siebie nie żałuje?

– Ja bo jej nie żałuję – rzekł stary – ale syna rodzonego. co on jej da, to jemu sto razy oddadzą; nie czepiaj się złego psa i drażnij pana, kiedy chcesz być zdrów, jak ten powiadał. Ty jemu raz, a on tobie sto, ty jemu dwa, a on tobie tysiąc. Będziemy teraz pilnować Ulany, zje czorta, kiedy nas oszuka

Tu arendarka podała wódkę i zaczęła się ceremonia częstowania.

Nalano kieliszek, spełnił go częstujący z życzeniem:

– Dobrego zdrowia wam!

– I wam, ojczu!

– Do was!

– Do was!

I kłaniali się sobie, i pili małymi haustami, a Lewko mruczał:

– Chcecie, żebym ja wam powiedział, może wy nie pamiętacie. Toć to i z moją było, póki była młoda. Cały dwór za nią biegał i pokoju nie było, aż ja jednemu furmanowi grzbiet wylatał, a żonę tak obił, co się potem cienia swojego bała, a tak była poczciwa, że na nikogo nie spojrziała nawet.

– Oj, bo – rzekł stary – co innego z furmanem, a co innego z panem. Co wrona, to nie jastrząb. Słuchajcie mnie, widział ja wiele świata; ot, niedaleko stąd...

---

<sup>23</sup> Obłatać – obić.

Przerwał mu Pauluk:

– Oj, bo wy, ojczy, pozwolilibyście na wszystko, a jakby mąż żony nie ukarał, toby one nam włosy z głowy pozdzierały. Za co my cudzie dzieci mamy karmić? A co mu pan zrobi, że on swoją żonkę obje?

– No, no, słuchaj no tylko, słuchaj... Ot, niedaleko stąd, mila, koło Ołyki<sup>24</sup>. znacie karczmę na trakcie pode wsią Silnem, gdzie to pop się zabił, co jemu figurkę postawili nad drogą?

– Aha! Aha! Na trakcie, byli my tam, jak jechali z żytem.

– Nu, to w tej wsi, dawnego to czasu, jeszcze za ojca mego, był pan, bo to książećca wieś Radziwiłłowska, ale ją tam puścili komuś, a dość, że był pan. I pokochał się on z żoną chłopą, a chłop widział to; i co ma zrobić? Wybił żonę. Nazajutrz jego w dyby i na czabanki wsadzili na chleb, na wodę, aż pobladł, jakby chorował, siedząc tak cztery niedzieli.

Poczęli prosić pana ludzie, wypuścili go. On, co tylko jemu żonka na oczy naszła, znowu do niej. Pan jego znowu na chleb i wodę, aż tak siedział pół roku. Nu, nie wiem, jak tam jego puścili potem. W dwa dni, z wieczora, aż tu pal się dwór, a wiatr był na gumna i tok, pali się stodoła, ta i obora. Oj! Pan w płacz i ręce łamie; a nazajutrz jego w dyby. Najechało tam dużo, posadzili chłopą, a pytali, a macali, prosili, sprowadzili popa, a męczyli go, aż się po dobrej woli sam przyznał. poszedł chłop w kajdyny, a żona do dworu. Nu, ja tobie zdaje się, Okseniu, nie lepiej było cierpieć a milczeć? Nu a co robić kiedy taka nasza dola? Albo to ty pierwszy, albo co? Albo to tobie jednemu? J a k t e n p o w i a d a ł.

– Kiedyż bo to głupi chłop; a czemu on podpaliwszy nie uciekł.

– Oj, oj! a dokąd ucieczesz teraz? jutro ciebie złapią – odpowiedział stary.– Co to tobie się zdaje, teraz nie tak, jak dawniej; ucieczesz za sto mil, to cię złapią i oddadzą. Biada! A cóż? Trzeba milczeć i cierpieć.

A wy co mówicie, bracie, i wy, Lewko jak wam się zdaje, stary?

– Taki ty wybij żonę, to nic tobie nie będzie, a dobrze wybij, żeby aż poleżała na piecu ze dwie niedziele. Co tobie pan zrobi? Chodźmy, chodźmy.

I ruszyli się do wyjścia, kiedy drzwi skrzypaneły, otworzyły się i pokazała się w drzwiach Ulana.

Ośłupieli. Okseń wstał z ławy trzęsąc się z gniewu.

– Nie bijcie w karczmie – rzekł Lewko – bo zaraz do dworu doniosą.

– Wieczera gotowa, chodźcie do domu – odezwała się Ulana drżącym głosem.

– O! jak to ty mnie czekała – rzekł jej mąż wymykając się za nią.– a kto tobie dopomagał mnie czekać? A nie tęskniłaś za mną?

– Jak by nie tęsknić?

Okseń zżymnął się ze złości, aż wreszcie oddaliwszy się już od karczmy i widząc, że towarzysze jego zostali za nim daleko, porwał się do niej.

– A dobrze było tobie z panem zabawiać się, ha?

– Co? Co ty gadasz, za co mnie bijesz? – zawołała z wrzaskiem Ulana. – Czego ty ode mnie chcesz?

– A po co to ty do pana chodzisz, a czego to ty w nocy nie nocujesz? Co to tobie dworski chleb smaczny i pańskie podarki?

I bił nieszczęśliwą, która głośno krzyczała wyrywając się i wołając:

– Ratujcie, ratujcie! On mnie chce zabić!

Nadbiegli Lewko i Pauluk, i stary Ułas, porwali Oksenia i odciągnęli.

---

<sup>24</sup> Ołyka – miasto w powiecie dubieńskim na Wołyniu.

– Co ty się skręcił, wrzask na ulicy robić i budzić ludzi, żeby wszyscy twój wstyd widzieli. Czy to tobie mało tego, że ciebie z chaty posłyszają? Czy to ty chcesz prędzej, żeby pan posłyszał?

– A chcę – odpowiedział Okseń rozjuszony – i ją zabić, i jego.

– Milcz – wrzasnął Ułas – milcz, na krzyż Pański, pogubisz nas wszystkich. Chcesz swojego nieszczęścia?

Ulana tymczasem, widząc, co się dzieje i co ją czeka, wyrwała się im i płacząca, zbita, okrwawiona, wpadła do chaty siostrzynej z płaczem.

W chacie Marii była jak na biedę wieczornica; kilka starych bab siedziało u ognia, kilka kobiet przędąc śpiewało, a dzieci skakały po izbie. Otworzywszy drzwi i obaczywszy ich, wróciła się Ulana i zawołała tylko na siostrę:

– Mario, chodź no tu!

Sama została w sieniach. porwała się od kądzieli siostra poznawszy ją po głosie, za nią wybiegły wszystkie ciekawe baby, a za nimi mężczyźni; ale nie posłyszeli, co siostra siostrze szeptała, i próżno pytali jeden drugiego:

– Czego to ona chce? Czemu nie weszła do izby?

Widząc w tym jakąś tajemnicę, mężczyźni nazad do izby się wrócili pleść postoly<sup>25</sup> i szczepać łuczywo, a jeden z nich się ozwał:

– Czego to Ulana przybiegła?

– Coś to poradzić się z siostrą?

– Okseń dziś powrócił – rzekł drugi – czy nie pobił jej tylko?

– Aha! – dodał trzeci – i byłoby za co, oj, wiem i ja coś, wiem.

– Albo to i my nie wiemy – powiedzieli inni. – nie utai się to pańska miłość jak kot w spiżarni.

– Nie gadajcie, kiedyście nie widzieli.

– Żeby o nie widzieli.

– Albo co?

– Ot, lepiej milczeć.

Tymczasem w sieni Ulana płacząc prosiła siostry, żeby ja przed mężem schowała. spodziewała się ona znaleźć politowanie u niej, ale się omyliła. Siostra Ulany, Maria, była także piękna, a niegdy dworka, daleko jednak inna, choć nie mniej piękna. I ona już wiedziała, co się działo, i zazdrościła siostrze, bo męża miała niedołęgę, co patrzył i nie widział nic w chacie prócz miski na stole; a rada była, żeby się pan ku niej obrócił, bo myślała, że jej by do gospodarstwa dopomógł. Zimno więc przyjęła płacz i użalanie siostry.

– Mąż mnie pobił – mówiła Ulana – i jeszcze bić będzie, jak złapie. Upił się w karczmie, przyczepił się.

– Nu, to co – odpowiedziała siostra – albo to ty ręk nie masz żeby jemu oddać?

– Kiedyż ich kilku.

– A cóż to oni ciebie przyczepili się? – spytała Maria udając, że nic nie wie.

– Ach! czyż ja wiem!

– nic to już nie wiesz?

– Aha! – dodała jakaś stara kiwając głową – kiedy my wiemy.

– To pewno za to, że ty wraz do dworu chodziła?

– Alboż ja chodziłam? Ale kiedy każą do ekonomowej, to można nie iść?

– Już to ty zawsze do ekonomowej chodzisz – przerwała stara – a ja ciebie dlatego na folwarku nie widzę, mało to ja tam nocy nocowała?

---

<sup>25</sup> Postoly – chodaki z kory lub łyka.

I stare baby zaczęły między sobą gadać, szeptać, a Ulana płakała, tuląc twarz w koniczynie zmiętego fartucha. Aż we wrotach podwórka posłyszeli głosy Oksenia i Pauluka. Biedna Ulana rzuciła się na drabinę, na strych, a baby obróciły się do drzwi.

– Dobry wieczór – rzekł Okseń, który w tej chwili przestępował próg – a nie było tu mojej Ulany?

– Była – odpowiedziała szybko jedna stara – ale poszła.

– Kiedy? Dawno?

Ot, tylko co była, czegoś z siostrą pogadała, ta i poszła.

– Pewnie poszła?

– A juściż pewnie! A cóż! Wyszła podwórkiem, ono co na ulicę. Krzyż na mnie, że poszła. Albo to czego wy jej szukacie? – dodała stara, stając z ręką założoną pod brodę do rozmowy.

– At – rzekł Okseń – to nasza sprawa domowa, niechaj no pójdę jej poszukam. Ty tu zostań Pauluk, i pilnuj, choćby do białego rana. Może gdzie przechowała się.

– Nie bój się – odpowiedział Pauluk – już ja nie odejdę.

– To chodźcie z nami do chaty – odezwała się Maria, siostra Ulany.

– Nie, nie, ja tu sobie na przyzbie usiądę i popilnuję.

Kobiety weszły, cicho szepcząc, i usiadły do kądzieli porzuconych, ale nie śpiewały. Mężczyźni w milczeniu pletli łąpcie; długa chwila upłynęła, nim pierwsza śpiewaczka zaczęła znowu nucić pieśń smutną, do której powoli łączyły się głosy wszystkich, ciche z początku, potem coraz głośniejsze, jakby mimo woli wyrrywające się z uciśnionych piersi.

Bieda nam, bieda – jak kosa ostrzygą.

Szkoda wianka – kosa szkoda

Z nimi pójdzie wesele, przepadnie swoboda,

Póty tobie życia – póty twojej doli,

Póki z ojcem, z matką, a mąż nie pozwoli.

I cała pieśń była tylko przerabianiem tej jednej myśli.



## IX

Gdy się to dzieje, Tadeusz tymczasem wyjrzał w dziedziniec i spostrzegłszy berdyczowskie furmanki, których się tak prędko nie spodziewał z powrotem, zagryzł usta i czoło zmarszczył.

– Jużście to wrócili? – spytał ekonoma.

– A cóż! Nie można było wcześniej – odpowiedział pan Linowski, kręcąc zawiesistego węża.

– No, no, idźcież się rozpakujcie, a potem do mnie.

I drzwi zamknął, bo nie miał dość przytomności, aby się z nim zaraz rozmówić. Upadł na kanapę i mimowolnie głośno spytał siebie:

– Cóż teraz będzie?

Zdało mu się, że coś okropnego spadło na niego. Nigdy jeszcze nie czuł tak mocno swojego szalonego przywiązania, nigdy żadnego tak silnie nie czuł nieszczęścia, jak teraz.

W oczach mu się mieniło i powstał, i chodził, i myślał. a na podwórzu ściemniało się właśnie i chłodny wiosenny wieczór przez okno zaglądał. Powietrze go w izbie dusiło, oczy mu nabrzmiewały, dreszcz przechodził po plecach i wdrapywał się na czaszkę zimnymi palcami.

Wybiegł do ogrodu, tu ujrzał miejsca swoich schadzek wieczornych i wrócił nad jezioro. Tam dymiła się wieś na jaśniejącym jeszcze luną zachodnią niebie wieczornym.

– Miej rozum! – rzekł do siebie – Cóż się tak strasznego stało, tak nieprzewidzianego? On nic nie wie, ty będziesz z nią jak byłeś dawniej, będziesz ciągle.

Ale gdy tak tłumaczył i wmawiał sobie, czuł wszakże, że coś się stać musiało, bo go okropna niespokojność dręczyła; czuł, że sama przytomność<sup>26</sup> męża czyniła położenie jego nie do zniesienia, czuł, że dzielić się tym, co zwał swoim szczęściem, piekielną było męczarnią – a lepiej sto razy nic nie mieć, niż dzielić się, i – z kimże jeszcze.

On, co swoją Ulanę już był oswoił dziwacznie w tak poetyczne szaty, co ją był oswoił ze swoimi marzeniami, co śpiące w jej duszy rozkołysał myśli – jakże cierpiał okropnie, gdy między nich dwoje, w to życie krótkie, ale już swobody pełne, pełne tajemnicy i wdzięku, wpadła czarna ręka gruba – Kalibana<sup>27</sup>, odrywająca ich od siebie, rozsuwająca daleko.

Tak myśląc włókł się brzegiem jeziora nieprzytomny i poglądał to na niebo wieczorne, poczynające się już bladymi gwiazdkami ubierać, to na wioskę, przez której czarne, niskie, okopcone chaty widział Ulanę swoją – szedł tak brzegiem jeziora, nie wiedząc co czyni: czasem się tylko konwulsyjnie wstrząsnął, gdy nagły szelest dumanie mu przerwał. Były to – to lecące dzikie kaczki nad głową, to przez trzciny sunący wąż wodny, to ptaszyna spłoszona z noclegu przez niego, to znów powiew wiatru przelotny, który przelatywał ciepły, poruszał suche trzciny i łozy i upadał gdzieś pod lasem.

Tadeusz nic nie widział, nie doznawał, jedna myśl go zajmowała, jedne tylko własne położenie. Oksień powrócił, jej już widzieć nie można codziennie, rozkoszne noce, w których przy blasku księżyca patrzył w jej oczy wyrazu pełne, tak wiele mówiące milczeniem, i te noce już się skończyły, przerwały.

Tego nie umiał przypuścić Tadeusz, nie potrafił wierzyć temu.

---

<sup>26</sup> Przytomność – obecność.

<sup>27</sup> Kaliban – postać z *Burzy* Szekspira; tu: ordynarny prostak.

– Choćbym miał nie wiem co uczynić, ja ją mieć muszę, ja bez niej żyć nie będę. Ona warta. A! on był śmiać też dotknąć po mnie. On dziś by ją ścisnął, ja jutro! Ja bym się musiał z nim dzielić! Nigdy! Nigdy!... Ja go... ja się go pozbędę... dziś, jutro.

I obłąkany, gadając tak do siebie, szedł brzegiem jeziora aż pod karczmę samą. W karczmie słychać było głosy. Mimowolnie nastawił ucha i sparty o płot dumając spotkał kilka razy dolatujące do jego uszu własne nazwisko, wyrzeczony przez chłopów. Zbliżył się do okna.

Właśnie to była chwila, w której chłopci rozprawiali o ukaraniu Ulany. Tadeusz wysłuchał wszystkiego, ale od pierwszych słów krew mu się rzuciła do głowy, włosy na języły, ręką uderzył po czole i o mało nie padł.

– On wie... oni wiedzą – zawołał w duchu – wszyscy, cała wieś. Nieszczęśliwa!... Co tu począć?

W miarę jak słuchał rozmowy i pogroźek, gniew jego wzrastał niesłuchanie, już i miłość, i tęsknotę, zastąpiła niepokonana żądza zemsty, odzywająca się w głębi serca ludzkiego, ilekroć ją namiętności za sobą wyciągną. Gdyby mógł, rzuciłby się był na nich, ale jakby niewidzialna władza przykuła go do miejsca, ruszyć się nie potrafił i piersi tylko poruszane ciężkim oddechem, na który brak mu już było powietrza, wznosiły się często, a ręka drżąc mocno ścisnęła kij i potniała z zimna.

Co przez jego głowę przeszło, co się w niej działo w czasie tej rozmowy, której posłuchał – niepodobna opowiedzieć. Tysiące się po niej przelało zamysłów zemsty, sposobu uwolnienia się od tych ludzi. I jakkolwiek dotąd Tadeusz cnotliwym prawie nazwać się mógł jeszcze i obłąkanym tylko, w tej chwili szalu połowa jego myśli krwią nabiegła i okropnymi zaczerniła się zbrodniami. Do kogóż czasem nie przemówi szatan tym sposobem, próbując go skusić do złego?

Tadeusz pasował się z miłością, gniewem, zemsty żądzą, rozpaczą, żalem, nie dziw więc, że na wierzch tych fali wypłynęły okropne myśli, na które sam się wzdrygał – a pozbyć się ich nie mógł.

Okropna była to półgodzinna męczarnia pod oknem karczmy, w osłupieniu i gniewie spędzona; gdy się wreszcie ludzie pierwszy raz ruszać poczęli do wyjścia, Tadeusz uskoczył w bliskie zarośla nad jezioro i nie wiedząc, co czyni, pędzony ta sama niespokojnością, która go tu przygnała, poszedł szybko do dworu obłąkany, nieprzytomny, nie umiejąc zebrać się na jakąś radę, na stałe postanowienie; nie wiedzieć jak łamiąc się próżno z myślami gorącymi, a próżnymi skutku i czynu.

Już brał za klamkę drzwi, gdy usłyszał głosy w przedpokoju. stanął znów niespokojny.

Jakub rozmawiał z panem Linowskim, ekonomem. – O! bardzo się odmienił – mówił Jakub – i to tak prędko... niespodzianie.

– No, ależ teraz nie gorszy?

– O! nie, jeszcze lepszy – odpowiedział Jakub – można mu choć kolki ciosać na głowie... raz wraz lata, a lata jak postrzelony.

– To polowanie jak dawniej.

– Na sarneczkę – rzekł Jakub śmiejąc się – a wiem nawet, na jaką.

– No?

– Alboż to wy się nie domyślacie, kto tu we wsi najpiękniejszy? Toć to i wyście ostrzyli zęby i gdyby nie żona...

– Aaa! To Ulanie mówisz waćpan!... No, patrzaj! Wypatrzył sobie pięknie. Ale czy to pewno?

– Kiedy ja mówię!... Proszę pana na tabakę. Dobra?

– Niezła.

– Pińska<sup>28</sup>.

– I to pewno o Ulanie?

– Pewnie, kiedy ja waćpanu mówię; ale co nam do tego, a po tym nam nic złego.

– Cały więc świat już wie o tym – rzekł do siebie z gniewem Tadeusz – i wpadł nagle do przedpokoju.

– Zmieszali się rozmawiający, schowała tabakierka – on na nich ledwie rzucił okiem.

– Waćpan, panie Linowski, jutro mi dasz rachunek! Jakub! Światła!

I wyszedł.

– Pan czegoś zły – szepnął Jakub chowając tabakierkę do kieszeni.

– Nie dziw: mąż powrócił – rzekł ekonom – ale ja dam na to rady, zaraz go znowu z lichem wyprawię, humor się poprawi.

Całą noc o jednym tylko myślał Tadeusz: jak się od męża uwolnić, jakim sposobem tę kobietę mieć na zawsze. Jedne od drugich dziksze i niepodobniejsze do spełnienia pomysły przychodziły mu do skolatanej głowy. Raz chciał się mścić okropnie na chłopach, to znowu myślał ich łagodnością przekupić, zapłata usta im zamknąć – to jeszcze porwać ją i uciekać daleko. Ale wszystko to były myśli latające po głowie i migające tylko jak jaskółki na niebie.

Kręciły się jednak po mózgu bez ustanku, aż sen gorączkowy zamknął powieki po północy, przedłużając jeszcze te męki, których Tadeusz doznał na jawie. Sen był tylko straszniejszym, dalszym ciągiem marzenia na jawie; ale wyżej od niego, silniej od niego wpinał się niczym nie krępowany, dziwaczny, splełany, pokazując nieraz obok siebie złote obrazki przeszłości i chmurną przyszłość – i uczynki nie spełnione, i myśli nie spełnione, zaprzeszłe – i niebo, i piekło, i spokój, i rozpacze, i wczoraj, i jutro, i wszystko, czym zadrgał mózg najsilniej w ciągu życia.

Obudził go ranek i świergotanie ptasząt pod oknem; za ledwie uczuł się w rzeczywistym życiu i brzask dnia oczy mu uderzył, nagle przypomniało się wszystko wczorajsze i całe położenie jego wyjaśniło. Całe jednak inny jest najnamiętniejszy nawet człowiek we dnie, a w nocy. Jest to niezaprzeczona prawda: wpływ dziennego światła modyfikuje uczucia i myśli, dorzucając do nich wstyd. Człowiek sam przed sobą nagość swą chcąc ukryć, szuka figowego liścia; tym liściem są myśli, którymi inne nagie przykrywa do nocy. Światło uczucia hamuje, myśli krępuje się wstydem pierwotnym. Inaczej się rzeczy widzą we dnie i w nocy.; oczyma duszy nawet we dnie mniej jest śmiałości, więcej rozumu, namiętności słabną, człowiek stygnie. Śmieszne to może i upokarzające dla biednego człowieka, który nawet światła dziennego jest niewolnikiem – ale tak jest. Rzadkie zbrodnie popełnione we dnie, po trzeźwieniu; rzadki śmiały, zuchwały uczynek przy świetle słońca; noc za to matka dziwnych przedsięwzięć, olbrzymich zamiarów.

Całe już inaczej i daleko chłodniej widział położenie swoje Tadeusz we dnie. Uczuł się panem, uczuł Ulanę poddanką, swoją siłę – ich słabość. Zaczął rozumować. – Jedno z dwojga – rzekł – albo otwarcie wbrew wszystkiemu mężowi ją odebrać, albo obszyć się tajemnicą tak, żeby jej nie docieczono, żeby to, co już wiedza ludzie, wszystkim się kłamstwem wydało. To jednak niepodobna, więc pierwsze. Pierwsze trudne i niebezpieczne także. Cóż począć? – myślał.

– Czekać... czekać! Może się co odmienić, może ci co myśl podać!

A rozum nieubłagany dodał pierwszy:

– Może ci się naprzykrzy i porzucisz!

W takim stanie umysłu przebudziwszy się, Tadeusz kazał Jakubowi przygotować wszystko do polowania, mając nadzieje tą z domu wycieczką po dawnemu omamić

---

<sup>28</sup> Pińska – wyrabiana w Pińsku na Polesiu.

ludzi, siebie odurzyć. Ruszył z psami w las, nie myśląc wcale o polowaniu, mimowolnie przechodząc znowu, w miarę postępu dnia, do tej gorączkowej i namiętnej burzy, jaka nim miotła wczorajszego wieczora.

## X

Nazajutrz Ulana równo ze świtem wrócił od siostry do chaty. Mąż, ojciec i brat spali. Ona, jakby się już na wszystko odważyła, nie lękała się niczego, wzięła się do roboty.

Nie zabije mnie – powiedziała sobie – a choćby zabił? Tym lepiej. Tak się powinna kończyć miłość, której mnie mój sokół nauczył. O! warto umrzeć, skosztowawszy tego życia, bo krótkie, ale wielkie było szczęście.

I lzy jej z oczu pobiegły, gdy przy blasku zgromadzonego łuczywa ujrzała dziecię swoje młodsze śpiące w kolebce. Spojrzała na nie, założyła ręce i zamyśliła się.

– Ja i teraz dzieci mniej kocham. dawniej dzieci to był mój skarb... A dziś. Dziś tylko je widząc to o nich myślę, jakby one cudze były. Biedne dziatki, już wam i matki nie stało, wy za życia sieroty. Kto was będzie kochał? Nie ja, nie ja! Ja już nie wasza: porwali mnie w cudzy kraj, gdzie słodko żyć, a choćby i umierać... porwali od was! Matka wasza, a nie wasza już, nie matka sercem... cudza.

– I wstrząsnęła się usłyszawszy w tej chwili mocniejsze sapanie męża, którego światło łuczywa zaczęło rozbudzać. Chwilę to jednak tylko trwało, bo wnet jakoś nieznacznie z rozpaczy przysła jej odwaga.

– Wróciłam do chaty – powiedziała sobie w duchu – będę mu się bronić, wszak i Maria swojego bije.

Ale prędko znowu opuściła ręce.

– O! cóż to za życie – pomyślała – bić się i łać. czemuż to nie na zawsze tak jak z nim, z sokółem moim, słodko jak w raju. Kiedy on mówi, to jakby miód z ust płynął, kiedy przy mnie siedzi, zdaje się, że nic już nie braknie, nic więcej nie potrzeba: i jeść, i pić się zapomina, i chłodu nie czuje, i burzy nie zobaczy; śmierć by przysła i nie uczułabym jej. Wrócisz do chaty, serce się ścisza, choć dzieci witają, choć to swoja chata. O! ale nie tu już moje życie! O! piękna miłość pańska, ale czemuż miga ona jak błyskawica, a po niej tak ciężko żyć.

W tej chwili mąż się przebudził, a Ulana poszła do komina, na którym już gasty szerniały łuczywa.

– E! Ulana! – ozwał się Okseń.

– A czego chcesz? – odpowiedziała śmiało kobieta.

– A już ty tu – rzekł stary – przysła taki do chaty. Gdzieżeś to była, jak my ciebie do północks szukali?

– Uciekłam, boś mnie bił.

– Jeszcze ja to i dziś potrafię.

– Tyś się jeszcze nie wytrzeźwił.

– Będę ja tobie trzeźwy, pokaże ja ci, co umiem.

– To zobaczysz, że ja potrafię toż samo.

– Co ty tam, więdźmo, gadasz?

– Jak ty mnie, tak ja tobie.

Okseń porwał się z kąta i chwycił za kij stojący przy nim, Ulana cofnęła się i znalazła broń także. To widząc mąż upamiętał się i rzekł:

– A cóż to ty się myślisz jeszcze bronić? Albo to ty nie wiesz?

– Mogę wiedzieć, czegoś w drodze oszalał?

– Ty chcesz, żeby m ja tobie powiedział, po co do dworu chodzisz?

– A choćby m i chodziła?

– Jeszcze mi to gadasz?

– Tak, bo się nie boje ciebie, ty mnie nie tkniesz palcem, kiedy nie chcesz sam zgiąć marnie.

Te słowa wymówiła z przekonaniem, z dumą, z gniewem, które zmieszały męża – postawił kij, padł na ziemię, gdzie spał i pomyślał:

– Ona mnie gotowa zgubić; lepiej dać jej pokój, jak mówił stary. A po cicheńku na panu się zemścić. Dachy słomiane. – I głośno dodał:

– No, no! Znajdziemy my się na sprawę<sup>29</sup> i zobaczymy, czyja prawda i czyja siła.

Ulana, jakby nic nie słyszała, poszła do komory, krzątała się około gospodarstwa spokojnie, jak co dzień. Okseń zdziwiony jej śmiałością milczał, sam nie wiedząc, co począć. Już dniało i wszyscy w chacie powstali, a on jeszcze leżał w kącie, aż go ojciec stary rozbudził wołając:

– Okseń, wstawaj, do dzieła! zakazywał wójt z furmankami do Łucka.

– Ale nie mnie, bom ja wczoraj z drogi.

– I tobie i wszystkim, co konie mają, bo to pod żołnierzy, to ni dworska sprawa, ale skarbowa, cesarska.

– Nie pojedę.

– Pojedziesz, Okseń, pojedziesz, jużem ja wóz naładował i koniom dał obroku.

– To ty sam jedź, ojciec kiedy już potrzeba. Ja z drogi, niechaj w domu wypocznę.

– Mnie nakazano do ciesielki z siekierą.

– To ja pójdę za ciebie.

– Oj, nie, bo ekonom wyraźnie mnie kazał iść.

Ty wiesz ja taki majster.

Okseń mrucał i kłął, ale cóż było począć, trzeba było słuchać – począł się wybierać.

– A na wiele dni chleba wziąć? – spytał ojca.

– Nie wiem – rzekł stary wzruszając ramiona – mówią, że to i tydzień może zabawi.

– Sto czortów ich... – zawołał Okseń rzucając worek o ziemię. – Tydzień.. nie pojedę! A jak ja tu tę wiedźmę samą znowu zostawię?

– A cóż? Tak jak i wprzód – rzekł powolnie Ułas. – To już taka dola, s k a c z y, w r a ż e, j a k p a n k a ż e<sup>30</sup>. Kiedy się jemu zachciało twojej żonki, ustąpże się z drogi i milcz, kiedy chcesz spokoju, bo cię tak z roboty w robotę, z posyłki w posyłkę gnać będą, aż zdechniesz. lepiej daj jej pokój, bo to ty nie pierwszy i nie ostatni. Tobie głowa z karku nie spadnie, a zobaczysz, jaki w chacie będzie dostatek.

– Dobrze tobie gadać – odpowiedział Okseń – a ja jak wspomnę na to, to mi się aż krew gotuje.

– Tak to zawsze z początku, j a k t e n p o w i a d a ł – rzekł stary obojętnie. – Chcesz pokoju, to zapomnij o tym. Niechaj ona sobie robi, co chce; jak się sprzeciwisz, ja tobie mówię, będzie źle.

W tej chwili dał się z ulicy słyszeć głos wójta wywołującego do pańszczyzny. Okseń wybiegł przed chatę.

– Dobry dzień, panie wójcie

– Dobry dzień. Jedźcie do Łucka.

– Ale ja wczoraj powróciłem.

– Tak przykazali.

– To niech choć stary w domu zostanie.

– Oj, nie! Okseń stary do ciesielki, Pryśka do plewidła, Pauluk do oranki z wołami, a ty z końmi pod żołnierzy.

– Oni nas zamęczą – rzekł Okseń ponuro i wszedł do chaty.

– Albowiem ci ja nie mówił – mrucał stary. – Ot, milczałbyś, to by lepiej było, a jak ty będziesz strasznym, to tobie dadzą rady; u pana dłuższe palce niż u ciebie ręce.

<sup>29</sup> Znajdziemy się na sprawę – zajmiemy się tą sprawą.

<sup>30</sup> Skacze, wraże – (ukr.) skacz, przeklęty, jak pan każe.

- Zobaczym – rzekł Okseń.
- Zobaczysz – mruknął Ułas.

Słońce się już wznosiło ponad czarny pas lasów, kończący zawsze wszelki widok poleski, gdy nabrawszy chleba, ubrawszy się w dwie świty dla zapasu, wziąwszy sakwy, które uwiązał do kołka u wozu, Okseń zapalił fajkę u ognia mrucząc i nie zegnając żony, siadł wreszcie na wóz stojący u wrót.

Sto czortów ich m..., niech sobie, co chcą, robią, zresztą – rzekł do siebie – ja taki kiedyś się zemszczę. Nie ja pierwszy, mówi stary, i nie ja ostatni.

W tej chwili spotkał się na ulicy z Lewkiem i Paulukiem, którzy z fajkami w gębie i siekierami na plecach coś po cichu z sobą szeptali.

– Dobry dzień. A gdzie Ulana? – spytał Lewko.

– A w chacie.

– A cóż?

– A nic.

– I ty jej darował?

– Dobrze jeszcze, że ona mnie darowała, wszak się ona do mnie porwała, tak zhardtowała. Licho jej teraz da rady. Niechaj sobie robi, co chce; przyjdzie kolej na mnie. Sto czortów!

Lewko pokiwał głową.

– A ty jedziesz znowu?

– Cóż robić, kiedy wyganiają.

– No, to my na nią będziemy oko mieli – rzekł Lewko.

– Ja jej dopilnuje – dodał Pauluk.

– Sto czortów! – spluwając zawołał Okseń. – Niechaj teraz robi, co chce – dajcie jej pokój!

– Cóż to, Ułas ciebie ugadał?

– Nie Ułas, ale ja sam się namyślił. Toć, toć to nie ja pierwszy, nie ostatni, a z panem taki nie wojować. Dam ja im rady, kiedy się oni nie spodziewają, i zapłacę za swoje. Teraz licho z nim. Darmo nie pilnujcie, bo nie upilnujecie, już na to poszło.

Tak gadając kiwał głową, a w głosie jego przbijała się stłumiona zemsta do czasu i pasowanie się bezsilnego z przemocą.

Nu, kiedy wy tak mówcie, to co innego – rzekł Lewko. – Kiedy ty, Okseni, tak się namyślił, to co nam do tego. A może tobie i lepiej będzie, pan taki dopomoże, aby ty tylko oczy zamykał, ani się spostrzeżesz, jak ci wszystkiego przybędzie. Tak bo i Ułas powiada. Twoje dobro, twoja wola, niechaj tak!

– Bywajcie zdrowi – rzekł Okseń i konie zaciągnął.

## XI

Gdy mąż wyjechał z domu, uczyła się znowu swobodną Ulana i spostrzegła łatwo, że nie traf prosty zrządził tak nagłą z jednej w drugą podróż wyprawę. Ale obłąkana już zupełnie, widząc, że jej tajemnica wszystkim już była wiadomą, czując się szczęśliwą, zapomniała łatwo o wstydzie, o groźbach męża, o przyszłości.

Pierwszy raz ta kobieta, dotąd cudem jakim wśród zepsutych czysta, owionięta oddechem nieznaney rozkoszy, myślami jakimiś dziwnymi, a jednak przemawiającymi do niej, obłąkana – tak silną uczyła w sobie namiętność, że przez nią potrafiła na wszystko patrzeć obojętnie i wszystkim wzgardzić. Nie znana jej dotąd odwaga, którą raz pierwszy tego ranka uczyła, nie opuszczała już jej więcej.

Śpiewała wesoło, krzątając się koło swojego gospodarstwa i dzieci – a myślą była całkiem gdzie indziej. Te dzieci nawet nie obudzały w niej, jak dawniej macierzyńskiego przywiązania; często płacz ich dochodził uszu, a nie odbijał się już w sercu. Patrzyła na nie obojętnie, zimno, całowała je jak dawniej, ale myślała o innych pocałunkach, o innej miłości. W prostej kobiecie – spyta z was niejeden – skąd tyle uczucia? Albo ono wyłącznie właściwe jest tylko wykształconym? Na prostą duszę, którą Bóg stworzył całą i silną, nie wycieńczoną niczym, nie zestarzałą za młodu, śpiącą w ciele jak w kolebce – gdy padnie nieznanne uczucie miłości i w korzeni się w niej, gdy jej cuda swoje pokaże, dziwny świat odsłoni, gdy z życia zwierząt wywiedzie ją gdzieś wyżej, naówczas w tej duszy rodzi się niepohamowana, dzika namiętność, której nic nie przełamie, nie obali. do uczuć składających ją łączy się jeszcze żywa ciekawość dziecinna, której inni ludzie, wytrawieni, oswojeni ze wszystkim, nie mają. Tak właśnie Ulana przyrosła była do swojego szczęścia terażniejszego ileż to jeszcze spodziewała się, wyglądała od przyszłości, ile miała nadziei, co się nawet ziścić nie mogły.

Ona nie była prostą kobietą, bez duszy, bez myśli, pięknym bawidełkiem oczu – gdyby ja los postawił na wyższym szczeblu, dziwiliby się jej może ci, co na nią teraz spojrzeć nie chcieli. Tak nisko stojąc, nad stan swój miała roślejsze myśli i uczucia, nad stan pojęcia. Nieraz już spostrzegł to Tadeusz i to go właśnie namiętniej jeszcze do pięknej przywiązało Ulany. Poetyczna swoją prostotą, jak wszyscy wieśniacy, co dzień lepiej pojmowała i rozumiała przemawiającego do niej językiem namiętności ognistym. Powoli stawała się w jego oczach czymś idealnym, a łatwo pojąć, co tak dziwaczny ideał mógł wzbudzić za uczucia w rozmarzonej głowie młodego chłopca, pełnej wyczytanych z książek przeszłego wieku przygód niepodobnych do wiary, a tak pięknie wymyślonych. Urok niepojęty padł na niego, przezeń nic już rzeczywistości nie widziała i egzaltował się tylko urzeczywistnieniem tak cudownym jednego z swych snów – marzeń.

Gniewny i niepewien, co z sobą począć, wyszedł na łowy i w tych samych myślach z nich powrócił; znużony tylko bardziej jeszcze niespokojny. Wcześniej niż zwykle kazał zawrócić psy i strzelców do domu, bo choć nie miał nadziei widzenia się z Ulaną, ufał w przypadki i miał jakby przecucie, że ją zobaczy, choć nie pojmował, gdzie i jak – chciał też może być przynajmniej bliżej niej.

Zaledwie zmierzch padać zaczął, otworzył szklane drzwi do ogródka, który po pochylłym wzgórzu spuszczał się aż nad jezioro – i zszedł powoli.

Właśnie księżyc zaczerwienił się na niebie i wybijał z chmur. Ryczało było we wsi, warczały wozy jadące drugą stroną jeziora, bocian klekotał na spichrzu.

Smutny Tadeusz, patrząc na wieś, której gwar wieczorny i śmiechy dochodziły do niego, zszedł aż nad same jezioro i usiadł na ławce pod topolami, które od spodu okwitły już bez otaczał.

Mimowolnie oczy jego zwróciły się na obraz rozwijający się przed nim.



Nie był on wielkich wymiarów i wielkich piękności, lecz miał swój wdzięk niepojęty, którego po części położenie, po części wieczorna pora nadawała. Ponad nim było niebo ubrane w tę szatę tak dziwacznie piękną, w którą się tylko stroi na wybrane wieczory. Nad zachodem rubinowe, złożone wyżej, dalej już płowe, potem ciemnobłękitne i już bladymi iskrzące gwiazdeczkami, co się zdawały pokazywać i niknąć nieśmiało jeszcze – po niebie pływały chmurki jedne z jednej strony, purpurowej, coraz ku górze bledniejącej barwy, z drugiej – przed chwilą jaskrawe, a teraz w oczach gasnące. Naprzeciw już czerwony, wyolbrzymiały jak myśl, kiedy się rodzi – wznosił się księżyc ogromny i przerzynał przez szafirowe, ciemne chmury. Niebo odcięte było od ziemi czarną przepaską lasów, wycinaną w różnokształtne zęby. Nad łąkami i wody podnosiła się już lekka, czarowna mgła wieczorów i ranków. Na lewo, na pagórku, wznosiła się stara, zrujnowana kaplica, w której tyle razy matka modliła się za Tadeusza, tyle razy Tadeusz z nią odmawiał wieczorne pacierze! Czarna, smutna, posepna, odbijała na kilku potłuczonych szybach czerwone blaski zachodu, jak serce odbija wspomnienia; przez dach jej świeciło niebo miejscami, a nad nią śpiewał puszczyk, co w kopule rozdarłej założył gniazdo.

Dalej zniżał się pagórek, a wieś za mostkiem zaczynała, okrążająca półkolem jezioro, z tej strony obrosłe trzcinami, trawami, zielem, łąką. Ogródki chłopskie z wysoko wysypanymi grzędami schodziły płotami aż w zarośla i kępy. Za nimi dymiły chaty z wysokimi dymnikami, kilką gruszami, wierzchołkami żurawi skrzypiących i dachami stodółek. Dalej jeszcze stała czarna, a już w oknach oświecona karczemka, między nią a cerkwią i księżym dworkiem, opasanym wysokim tynem i ogrodem owocowym, szła samym brzegiem jeziora droga kręta, w tej chwili wieśniakami wracającymi z pola zaludniona. Na prawo były łąki i pola, ale to zakrywała mu część ogrodu dworskiego gęstymi zaroślami na pagórku się wznosząca.

Milczenie było uroczyste; w jego łonie nikły drobne głosy, co się kiedy niekiedy z drogi lub wsi zerwały. Milczały nawet żaby błot otaczających; a w jeziorze ich nie było, o czym lud nawet opowiadał podanie, szukając przyczyny.

Ten cichy wieczór działał na Tadeusza, opasał go pamiątkami przeszłości, napędził na pamięć młodość jego, wieczory spędzane w tym miejscu, macierzyńskie pieśczęty, ojcowskie przestrogi, młodzieńcze dumania. I westchnął. A drugie westchnienie obok niego słyszeć się dało: Ulana pochwyciła go za rękę całując ją.

– A! To ty, Ulano.

– A! To ja panie mój i sokole. To ja znowu, ja z tobą.

– I jakżeś tu przyszła?

– Jak? Przyleciałam! Czy ja wiem? Wytrzymać dłużej nie mogłam. Bez ciebie jak bez chleba nie wyżyć mnie teraz.

I już Tadeusz objął ją gorącym uściskiem, już milczeli i oddech tylko ciężki, zapalone oczy, ściśnięte dłonie świadczyły o uczuciach

– A! – spytał Tadeusz po chwili – gdzie twój mąż? Wszak wrócił.

– Pojechał znowu – z wyraźną radością odpowiedziała kobieta.

– Dokąd? Jak to?

– Posłali go pod żołnierzy.

– On wie o wszystkim...

– Wie, wie, ale cóż z tego. On wybił mnie nawet wczoraj. Jeszcze mam znaki...

– Śmiał cię uderzyć?

– O! to mnie nie bolało... A dziś jużem ze wszystkim zapomniała, wszak to dla was bił mnie.

Tadeusz uczył łzy w oczach, a gniew w sercu.

– Niech patrzą, niech widzą sobie – odpowiedziała kobieta, chwytając go z uniesieniem dzikim i patrząc na niego tymi oczyma, którymi tak cudownie przemawiać do niego umiała. – Niech mnie choćby zabiją... Mnie to jedno... wszak pańska miłość zawsze się tak kończy, śmiercią, smutkiem... Jest za co odpłakać, jest za co umierać... Mój króliku, mój sokole – mówiła dalej – ja do ciebie biegłam jak dawniej do dzieci. Wszyscy widzieli, palcami wytykali, a ja szłam, ja biegłam, ja nic nie uważałam... O, ja ciebie tak kocham!

Gdy to mówiła, pożar był na jej ustach i w oku, pierś się pod grubą switą wznosiła i opadła jak fala jeziora, ręce zimne drżały, to znów gorące, bezsilne na przemian opadały bezwładne, wstrząsała się ja od uczucia bólesci.

– Chodźmy stąd – rzekła po chwili przytłumionym głosem – tu nas widzieć mogą, chodźmy do ogrodniczej chaty.

I poszli w milczeniu, gdzie pod starą gruszą stara chatka pusta stała. Gdy usiedli jedno przy drugim, Tadeusz rzekł do niej:

– Wczoraj będąc przypadkiem od karczmy, gdy się naradzali z sobą mąż twój, ojciec i teść, słyszałem ich pogrózki na mnie. Nie boję się ich, powiedz mi, kto cię przed mężem oskarżył pierwszy?

– Ludzie mają kocie oczy – odpowiedziała kobieta – oni wszystko wiedzą jak żałowała i wszystko jak ona wygadają, nie potrafią ust utrzymać. Stary ojciec i brat Okseńnia oznajmili mu zaraz. Wybił mnie, wszedłszy w ulicę z karczmy, musiałam się aż chować do siostry Maryny, a nad rankiem dopiero wróciłam do chaty. Ale już mnie więcej nie tknął, bom mu się bronić chciała.

– Powiedz mi – przerwał Tadeusz – tak zawsze być nie może; co poczniesz z sobą?

– O, alboż ja wiem? Niech będzie, co chce, nie moja głowa w tym radzić. Twoja ja, twoja wola. Gdyby pofolgowali trochę mężowi albo uwolnili od roboty, może by milczał. A! Ale czyż ja wiem?

– Nie – odpowiedział Tadeusz – zrobiłby się zuchwalszym jeszcze.

– Róbcie, co chcecie – rzekła Ulna – ja, póki mnie nie przywiążą, nie zamkną, przyjdę do was, a i tak tobym się urwała, wybiła, odgryzła. Bez was mnie nie wyżyć, jak rybie bez wody.

I znowu tuliła się mu do piersi, i całowała go po rękę, i płakała z radości, i ścisła, i śmiała się, i obejmowała go z niewymownym zapalem. Była prawie szalona. Tadeusza także ogarnął ten ogień – a tak nie postrzegli się, jak krótka noc wiosenna, coraz chłodniejsza, obłana rosą, odziana mgłami, zbliżała się do końca. Już drugie kury piał i jutrzienka świeciła na niebie, kiedy się wyrwała z uścisków Ulna i brzegiem jeziora pobiegła, a Tadeusz przeziębły, smutny, zamyślony, nazad otwartymi drzwiami wszedł do swego pustego domku. Dzień był już a on jeszcze nie zasnął: chodził, myślał o sobie, o niej, o jej namiętej miłości, o jakiej nie marzył wprzód.

– O! – pomyślał. – To chyba sen czarowny, chyba omamienie. Taka miłość w takiej kobiecie, taka dusza pod switą, takie oczy u prostej wieśniaczki. A! Czemuż ona nie wolna. Niechby cały świat gadał, niechby wyleli wszystkie pomyje swej wzdargy na moją głowę – a ja byłbym z nią szczęśliwy, ja bym ją wypieścił na anioła, nauczył ją myśleć, ja bym nią świat zadziwił. Ale wówczas – pomyślał znowu – ona by ochłódła zapewne, ona by mnie zdradziła jak tamta, ona by już tak kochać nie potrafiła. Nie, lepiej, że jest taką, jako wyrosła dziką nad brzegiem, tego jeziora, pod tymi czarnymi bory. Jest szczerą, jest sobą. Na tamtym świecie poświęceń i szczerości nie pytaj! Tamte gonią za mężem, za swobodą, za oklaskami, nic nie czują prócz miłości do siebie. Królowe, którym się zdaje, że dla nich cały świat stworzony, z sercami pustymi a płomienną głową.

Tak myślał Tadeusz, bo z wspomnieniem Ulany pomieszało się przypomnienie przygody owej dawnej – zaszło serce jego resztą żółci wzburzonej, a odtąd nie przetrawionej jeszcze.

– Trzebaż było – rzekł w końcu – abym trafił tak nieszczęśliwie na własną poddankę, na niewolnicę... Niepojęta jakaś ściga mnie fatalność. Albożem jej szukał? Ale po co narzekać? Dziękować trafowi raczej... Nie, niech tak będzie, jak ma być, tak jest dobrze. Kto wie, czy nie będzie krwi lub ognia w piątym akcie dramatu! Tym lepiej! Cóż warte życie bez życia, bez wypadków, bez wzruszeń i uczuć?

Te ostatnie słowa, malowały najlepiej stan duszy biednego zapaleńca! On pragnął – i chciał się napić, bodaj krwią i łzami.

## XII

Tydzień minął nie postrzeżony, lotem sokoła zleciał, mignął błyskawicą – o! czas cudotwórca, jakże on szeroki niekiedy, jak znowu ścieśnia się i węży dla biednego człowieka.

Życie wiekiem, życie chwilą – rzekłbyś, że w szczęściu łyka się czas wielkimi hausty, a w niedoli wypija po kropelce. Dawno o tym ludzie wiedzą, a zawsze im to dziwnym się zdaje, zawsze powtarzają zdumieni: jak ten czas upłynął!

Tadeusz zagrzebał się w swoim dzisiaj, i nie myślał o jutrze, ona także, ona bardziej jeszcze, dzika kochanka, piła z czarownej krynicy jak zwierzę w siekę, którego nie odpędzisz strzałą od wody, nie odstraszyś śmiercią.

W nasyceniu każdej namiętności, jest taka chwila zapamiętałości, zaślepienia, obojętności na wszystko, co nie jest nią i nie ma z nią związku. Nawet to, co dalsze od niej, choćby się z nią wiązało – odpycha, zapomina rozmyślnie; nie chce swojego nieba czernić chmurami, które zawsze za prędko przychodzą. Stan duszy tej kobiety namiętnej, a raz pierwszy nasycającej nie znane dotąd pragnienie, łatwo się pojąć daje; ona nie pojmowała, dlaczego by nie miła nasycać pragnienia rozkoszy, nie rozumiała zawady, przeszkody, zapory – ona była prostą, namiętną kobietą – aniołem oczyma, zwierzęciem ciałem i wolą. I jak jej było cudnie z tą namiętnością ognistą, niepohamowaną, szczerą, bezwstydną prawie. Gdzież dziś taką miłość zobaczyć? Może dla dziwaczności tego przywiązania tak płomiennego, że ono przechodziło w marzenie i wymysł, Tadeusz trwał także w miłości niepojętej, szalonej, potwornej dla kobiety, co go pojąć nie mogła. Owionęła go i zaraziła łatwo namiętność, zabiło serce, zapaliła się głowa, pękły te myśli, którymi jak węzłami ostatnimi trzymał się świata wyobrażeń, przyzwoitości, godziwości...

On nigdy nie spodziewał się zejść tak daleko; piękne oczy Ulany zachwyciły go swym blaskiem, wyrazem, swą mową niepojętą o czymś tajemniczym – ale nie przewidywał tak gwałtownej namiętności w sobie, nie spodziewał się od niej. Teraz sunęli się już w pędzie z wierzchołka góry i nic ich wstrzymać nie mogło.

Ale on mógłże długo wyżyć taką miłością?

Po tygodniu przyszedł dla niego drugi period namiętności. Zaczynał, czując się szczęśliwym, budować swoje jutro, myśleć o przyszłości. Ona zawsze jeszcze trwała w pierwszym zapomnieniu na wszystko, zaślepieniu, obłąkaniu. Dla niego szła się przez mgłę i przezeń już widać było otaczający świat. Ona nic nie widziała prócz niego. Dla niego Ulana była zawsze piękną, zawsze gorąco pożądaną, choć niepojętą kochanką – ale już rozum wskazywał na sine, wypłakane jej powieki nad cudnymi zawieszonymi oczami, już twardą i spracowaną odkrył rękę, już nieraz wyrazi jej proste, namiętne śmiesznymi mu czynił.

Dla niej ten period był daleki lub nigdy może przyjść nie mógł, bo namiętność przeszła w życie, zrobiła się normalnym obłąkaniem i szalem dla niej, dzikiej wieśniaczki, nie było odczarowania, póki trwała miłość; nie było przesytu, póki gorzała namiętność – a w sercu, co nią późno i tak dziw nie zapłonęło, namiętność mogła wygasnąć chyba z życiem.

Prostej wieśniaczki na taką trzeba było miłość, pojąć by jej inna nie potrafiła kobieta, cóż uczuć dopiero? One, zużyte myślami, znające teorie namiętności, grając więcej miłości niżli jej doznając, mogłyby tak kochać? Nigdy! Od młodu palą się w ogniu myśli swoich próżniaczych, próżnych, kochających utwory swej głowy, szafują dla nich całą siłą serca – potem, gdy przyjdą lata rozkwitnienia, wykwitnie blade, mdły kwiatek, co go ranek zimnem zwarzy, południe pieką wysuszy, a wieczór wiatrem z lodygi otrzęsie. Taka miłość pań naszych. Wieśniaczki, proste kobiety, kochają rzad-

ko, bardzo rzadko; ich miłość to fenomen, to ten kwiat aloesu raz w sto lat; ale kiedy wykwitnie – o! to kwiat nad kwiaty, pełen siły, wdzięku, woni – on zwiędnie, a z nim krzak usycha. Na nie zużytych sercu wczepia się miłość już na wieki.

Tydzień minął i pan Tadeusz rozważał, już myślał, już się oglądał. Ona rosła w namiętność tylko i gwałtowność jej, jeszcze podsycając nieco słabnącą miłość pana, utrzymywała go kochankiem. Ale już rozum częściej i głośniej przemawiał do niego, już znowu szydził i za czas milczenia wyplącał się nieprzerwanym gderaniem.

Tymczasem Okseń powrócił, ale to nie zmieniło bynajmniej stosunków. On zdawał się dobrowolnie nic nie wiedzieć, na nic nie uważać; ponury, chmurny, milczał uparcie, ani okiem rzucił na żonę, ani jej spytał, gdzie była. Obchodził się z nią jak z obcą zupełnie, a jednak wszystko widział, wiedział o wszystkim – cóż mu się stało? Nieraz i Ułana pytała się siebie, skąd ta nagła zmiana; to wzgardliwe milczenie ubodło ją także, choć zresztą rada mu była. Obojętność jego nie była prawdziwa; ona pokrywała gniew bezsilny, utajony w sercu do czasu, wzmagający się stłumieniem i mający się kiedyś wydać okropniejszym. Tadeusz także się niepokoił widząc go tak milczącym i na pozór obojętnym; on znał ludzi i wiedział, że w prostym człowieku chęć zemsty niczym się stłumić nie da, przeczuwał zemstę. Ale Okseń, ilekroć spotykał pana, pokornie zdejmował czapkę, zniżał się do kolan i z chytrą uniżonością pozdrawiał go.

Aby rozbroić wieśniaka, pan użył teraz wszelkich łagodności sposobów – myślał go zwyciężyć nią, przekupić.

Mylił się bardzo; Okseń wszystko przyjmował, nie okazując ani radości, ani wdzięczności najmniejszej, ani podziwienia; niekiedy tylko chytrze się uśmiechnął. Całą zapłatą za wszystko było zupełne niejako zaparcie się żony.

Była w domu, nie widział jej prawie, nie było, nie spytał o nią; wychodziła z chaty, nie wstrzymywał jej pół słowem; wracała w nocy, nie dowiadywał się, skąd. Większą część czasu pędził za stołem w karczmie, pijąc sam, częstując drugich; ale trunek nawet nie rozwiązywał mu ust, milczał jak kamień i niekiedy tylko przekleństwo zwyczajne... – Sto czortów ich... – wybiegało, świadcząc, że czuł coś przecie.

Pauluk i Lewko, widząc go umyślnie obojętnym, dali mu pokój i więcej nie wspominali o żonie. Ułas mówił, że ma rozum. Ale dodawał:

– Mieć już by tobie cały rozum i nie rzucać gospodarstwa, nie opuszczać rąk, kiedy przyszedł dobry czas, myśleć o sobie. A ty tylko w karczmie siedzisz, pijesz i o chacie nie myślisz.

Okseń nic nie odpowiadał, ruszał ramionami, zapalał fajkę i szedł z węzłkiem groszaków do karczmy. Stary sam musiał myśleć o wszystkim teraz. Synowa szalała, syn pił i gdyby nie on, chudoba by wyzdychała i pole zaodłogowało.

Jednego wieczora Okseń powrócił wcześniej do chaty i zaczął się krzątać żywiej niż zwyczajnie; napełnił chlebem torbę, przyrządził wóz, zasypał obroku koniom, sam wdziewał świtę i wybierał siekiere.

– A dokąd to, synku? – spytał Ułas.

– Do lasu, ba'tku, drew nie ma; pojedę na nocleg, a jutro rani z furą powrócę.

– Dobrze, że tobie przecie rozum przyszedł – rzekł Ułas. – Teraz nam i gospodarować, i pobogacieć.

Okseń kiwnął głową i uśmiechnął się szydersko, ale nic już nie odpowiedział. Nasunął czapkę na uszy, wziął batóg i siadł na wóz, a siedząc już na nim, z przechodzącymi jeszcze rozmawiał, każdemu powtarzając, że jedzie do lasu. Podjechawszy pod karczmę, zastanowił się znowu i pogadał z ludźmi stojącymi we drzwiach. Wypił porcję, zapalił fajkę, zaciał konie i jak szalony popędził drogą w las.

Zmierzchało; w oknach chat zapłonęły ognie, żywy ruch był na ulicy – kobiety rozmawiały, stojąc we wrotach podwórków z założonymi rękoma, mężczyźni siedzieli

w przyzbach, dzieci skakały w ulicy. Mołodyce szły z wiadrami po wodę i gwarzyły u studni z jedną ręką wyciągniętą na żuraw, drugą pod brodą.

Stadka czarnych i burych owiec cisnęły się do otwartych chlewów.

Ulany już nie było w domu, pobiegła do dworu; przez otwarte drzwi szklane wciśnęła się do pokoju pana i siedziała z nim razem, patrząc na trzaskający na kominku ogień. Tadeusz czegoś był smutny, spuścił głowę na jej ramię i myślał. Kilka razy kobieta starała się długie przerwać milczenie, ale na próżno, teraz już, patrząc mu tylko w oczy, milczała sama. Ciszę przerywało tylko trzaskanie ognia i wolny szum drzew ogrodowych, nad którymi stado wron na słotę krakało.

Noc się zbliżała, oni siedzieli jeszcze jak wprzód, a Tadeusz, wzdychając niekiedy, to ja objął, to ręce opuszczał, to na jej oczy, to na ogień przygasający spoglądał.

Już we wsi pogasły ognie, umilkły śpiewy, i kury tylko czujnie piałły, a psy naszczekiwały niespokojnie.

Pod gankiem, od otwartych drzwi na ogród, dały się słyszeć kroki ostrożnie przechodzącego człowieka. Tadeusz i Ulana razem je usłyszeli; ona się zerwała, nastawiła ucha – nic widać nie było; ale po trawie stapanie wolne, złodziejskie ciągle szeleściło. Jakby cień mignął raz przede drzwiami otwartymi – Tadeusz się zerwał, wybiegł, ale nikogo nie zobaczył, kobieta przelękną wciśnęła się żegnając w kąt pokoju i na wracającego niespokojnie zwróciła wejrzenie.

On milcząc usiadł na swoim miejscu znowu.

– Strach czegoś – szepnęła Ulana.

– Wartownik musiał przejść koło domu – odpowiedział Tadeusz.

– O! nie – rzekła kobieta – to nie wartownik!

– Pies może...

– Człowiek! – powiedziała i przytuliła się do niego.

Chwilę jeszcze półsłówkami prowadzona trwała rozmowa; zabobonna, a jak dziecko bojaźliwe Ulana żegnała się szepcząc, że może duchy chodziły, bo północ była blisko. Zdziwiła się uśmiechem Tadeusza, co w duchy nie wierzył; jej się zdawało tak niezawodnym wracanie biednych dusz z tamtego świata!

Szepcząc jeszcze usnęła przy nim. Tadeusz zamknął drzwi ogrodowe, usiadł przy niej i zdrzemał się także. Niespokojny, przerywany sen zmrużył ich powieki na chwilę.

Nagle zbudzili się oboje i porwali. Wielki blask wpadł drzwiami szklanymi do pokoju, chociaż na kominie wygasło, choć dzień daleko był jeszcze, widno było jak we dnie. Ale nie światłem dnia rozjaśniał się pokój, czerwony blask go oświecał.

Tadeusz porwał się z krzykiem:

– Pali się! Pali!

I odparł ręce Ulany, zawieszające mu się na szyi; rzucił się ku drzwiom. Drzwi były dragiem od podwórza podparte. Silnym pchnięciem wybił je Tadeusz i wybiegł na ogród.

Obejrzał się, na domu cały dach był w ogniu, za dziedzińcem świeciła druga luna od toku. Wszyscy spali! Potężnym krzykiem rozległo się podwórze – kilka głów wychyliło się z okien folwarku, kilku ludzi wybiegło. Tadeusz wołał ratunku.

W jednej chwili, co żyło we dworze, zgromadziło się, wysłano na wieś za ludźmi, a dworscy rzucili się dach zapalony rozbijać. Tymczasem tok płonął, bo wszyscy zwrócili się ku dworowi, a ze wsi nikt nie przybywał. Na próżno ekonom przebiegał wioskę, stukał do chat, bił ludzi i pędził; nie doszedłszy do dworu znikali, rozbiegali się, ukrywali, tak że nie było komu przynieść wiadra wody i rozrywać zapalonych budowli.

Jedni słudzy ratowali i kilku tylko wieśniaków, reszta, powłaziwszy za dach chat, na płoty, na drzewa, spokojnie, milcząco przypatrywała się pożarowi, który dojadł

gumien i toku. Kilka stert razem płonęło wielkim ogniem; stodoła już była runęła, w oborach ryczało zamknięte bydło, beczały owce. Konie w półopalone, wyrwawszy się ze stajen, biegały i tarzały się w podwórzu. Łuna pożaru świeciła na niebiosach krwawo i odbijała się w jeziorze. Bezsilnych kilka głosów odzywało się tylko, bezsilnych kilka rąk pracowały, reszta patrzyła w milczeniu na to, co nazywała karą bożą, nie śmiejąc ratować i nie chcąc może.

Tadeusz z rozpaczą, z załamanyimi rękoma, stał niedaleko od domu i patrzył w milczeniu na ogień niszczący gumna. Dwór bez dachu, z wyciągniętymi, okopconymi ku górze kominami, dymiący jeszcze, lecz uratowany, stał otoczony kupą główni żarzących i współpopalonych gontów.

Z daleka, na wzgórku, pod kaplicą postać w bieli stała jak on z załamanyimi rękoma. Poznał Ulaną, która płakała, głośno się zanosząc i nie dbając, że ja ludzie widzieli. Ona pojęła przyczynę pożaru i wdziała drzwi podparte – zrozumiała wszystko – przeklinała siebie i jego.

Powolnie pożar gasnąć zaczął i gęsty dym tylko ponad zgliszczami się wznosił. Na wschodzie wyjaśniało się pogodnie niebo i wyłocilo, zwiastując bliskie słońce.

Dla Tadeusza był to pierwszy może trzeźwy ranek. Szał go ominął w płomieniach, widział swoje położenie, pojmował, że sam podłożył ten ogień.

– Nie czas się cofnąć – rzekł w duchu – począłem, dokończę.

Odwrócił się do ekonoma.

– Ogień podłożony widocznie. Idź waćpan do chaty Oksenia, zobacz, czy jest w domu, wziąć i związać.

– Nie ma – odpowiedział pan Linowski – wczoraj z wieczora widzieli go wszyscy wyjeżdżającego do lasu na nocleg i po drwa. Dopiero dziś rano ma powrócić.

– Wziąć go, gdy powróci.

To rzekłszy wszedł Tadeusz do ocalonego dworu i rzucił się na kanapę, na której niedawno, tak swobodny i spokojny, usypiał przy boku Ulany. Znużony, uczuł dreszcze przebiegające po ciele, piekło go wewnątrz, oczy nabrzmiały, w piersiach brakło powietrza – miał gorączkę.

### XIII

Nazajutrz Tadeusz leżał bez zmysłów w okropnej gorączce, u drzwi jego pokoju stała we łzach Ulana. Ona zrzuciła już z siebie wstyd, rozważę, myśl na ludzi – nie opuszczała progu i jak pies wierny, nie jedząc, nie pijąc, z wytężonym wzrokiem, zaczerwienionymi oczyma, rozrzuconymi włosy, załamany rękoma – stała naprzeciw łoża, zaglądając na nie, ilekroć drzwi otworzono. Wejść nie śmiała, odejść nie mogła. Ludzie ją popychali, odpędzali; usunęła się krokiem tylko i wracała znowu. Kilka razy oczy obłąkanego chorego spotykały jej wzrok, przychodząc do przytomności, ją pierwszą zobaczył. Uśmiechnął się, potem rozplakał. Na niej tak było widać boleść okropną, zapomnienie na wszystko, szal rozpaczy! Mógłże ją odepchnąć? Któż by to uczynić potrafił? Tegoż dnia usiadła w głowach jego łoża i więcej od niego nie odeszła.

A Okseń siedział zakuty w dyby; sądowi ciągnęli z niego badanie – milczał z początku na wszystko. Prośby, groźby, nic nie pomagało. Pod węglem domu znaleziono krzesiwo, które do niego należało wedle zeznania ludzi. Pokazano mu je. Dopiero wówczas dziko się uśmiechnął i powiedział:

- Moje.
- I tyś podpalił?
- A cóż? Ja.

To były pierwsze słowa zeznania i stanowcze. Po ukończeniu śledztwa pozostał ponury, milczący, ale zimny na wszystko. Dwa razy prosił, żeby mu przyprowadzono dzieci, i odepchnął je, gdy przyszły. Na narzekania starego Ułasa nie mówił słowa; na porady tajemne do ucieczki skinieniem ręki tylko odpowiadał i uśmiechał się szydersko. W tydzień znaleziono go na posłaniu z rana nieżywym. Nie było znaku gwałtownej śmierci na nim, ale żadna choroba nie poprzedziła jej. Wezwany lekarz nie potrafił wytłumaczyć nagłego zgonu inaczej, jak silnym przestraczem i zgryzotą. Ale ludzie szeptali, że z wieczora zegnał się ze swymi i nad zwyczaj był mowniejszy; że przed kilką dniami stara Hrypyna jakieś mu ziele przynosiła. Samobójstwo jednak dowiedzionym być nie mogło, choć moralne za nim mówiło przekonanie.

Ułana dowiedziała się o śmierci męża i nie wzruszyła nią wcale. Dopiero po kilku dniach rozmyśłu łzy puściły się z oczu i zapragnęła widzieć dzieci. Przyniesiono je, popłakała trochę nad nimi i wróciła do domu chorego.

Ona nie pojmowała swego występku: tak głos sumienia zagłuszała ognista namiętność, ofiarami i cierpieniem wzmagająca się jeszcze. Nawet macierzyńską miłość to nowe życie stłumiło w niej prawie, ona została za wrotami ze starym, zapomnianym wczoraj. Dziwny szal, szal występny przykuł jej myśli do łoża chorego; całe jej serce, całą ją oderwał od wszystkiego, co nie było nim. Czas było odezwać się zgryzotom, sumieniu, żalowi – a one milczały jeszcze.

Pięknego letniego wieczora Tadeusz, przychodzący już do zdrowia, wyszedł usiąść już na ganku do ogrodu. Błady, wycieńczony, smutny, trawiony zgryzotami, które do niego w chwili otrzeźwienia przystęp znalazły, siedział i poglądał wzrokiem osłupiałym na błyszczące zachodu blaskami jezioro. U nóg jego leżał wierny pies, siedziała biedna Ulana. Oboje patrzyli mu w oczy – oczy, co gdzie indziej, nie na nich zwrócone były – oboje niepokoił się, widząc jego myśli daleko od siebie.

Tadeusz milczał i patrzył; przypominał mu ten wieczór tyle wieczorów życia, tyle wypadków, tyle uczuć.

Milczało wszystko dookoła. Nagle odezwał się z wierzchołka dzwonnicy dzwonek cerkiewny, jeden naprzód, powoli smutnie jęczący, drugi się do niego przyłączył i



trzeci, najstarszy, zaryczał grubym głosem żałoby. Nie była to godzina nabożeństwa; Tadeusz spojrział na Ulanę – ona czekała już jego wzroku.

– Czy jutro święto? – spytał.

– O! nie – odpowiedziała.

– A na cóż to dzwonią?

– Na pogrzeb.

– Czyj?

– Oksenia – wymówiła po cichu.

Tadeusz nie wiedział, że on umarł. Na te słowa porwał się z siedzenia, chciał coś powiedzieć, zabrakło mu głosu i upadł na krzesło. Patrzył na Ulanę i bolało go w sercu, nie postrzegając w niej żalu, smutku, zgrzyoty. Usta jej były prawdziwie uśmiechnięte, oczy błyszczące namiętnością, wlepione w niego, i tak spokojnym głosem wymówiła to słowo:

– Oksenia!

Pierwszy raz ona go przestraszyła swoją namiętnością, swym przywiązaniem; pierwszy raz on nierad był prawie tej niepojętej miłości. I sumienie zawołało na niego głosem okropnym:

– Tyś go zabił!

Wzrokiem potoczył na drugi brzeg jeziora. Dzwony w cerkwi ciągle żałobnie jęczały powoli, zdały się płakać zmarłego, zdały się mówić żyjącym:

– Jutro i po was zadzwonim.

We wsi dał się słyszeć śpiew księży i płacz niewieści; płacz zanoszący się długo, śpiewny, rozgłosny, płacz słowami ciągle na jedną powtarzanymi nutę. Słowa nie dochodziły do uszu, tylko smutny śpiew płaczu, piskliwy, żaloszny, mieszając się z śpiewem księdza, dolatywał do niego. Drugą stroną jeziora ciągnął się pogrzeb Honczara.

Tadeusz ujrzał krzyż czarny, kilka chorągwi i wóz ciągniony parą czarnymi wołami, za którym czepiały się płaczące kobiety. Przed nimi szedł w czarnej kapie ksiądz, śpiewając modlitwy, za nim garstka ludu ze świecami pogaśniętymi ciągnęła.

A dzwony w cerkwi ciągle wtórowały płaczowi niewiast, śpiewom księdza i skrzykowi kół śmiertelnego wozu, wlokącego się z białą trumną na mogiłki.

I Ulana patrzyła – a nie zapłakała, tylko wlepiła oczy w Tadeusza, jakby wejrzeniem powiedzieć mu chciała.

– Wszytksiegom się zaparła dla ciebie.

Tadeuszowi zamgliło się w oczach, zerwał się z krzesła, chciał biec do pokoju i upadł na progu.

Bezprzytomnego słudzy zanieśli na łóżko i znowu opanowała go gorączka, straszniejsza jeszcze niż wprzód. Słowa lały mu się z ust, malując okropny stan wzburzonej duszy; odpychał nieszczęśliwą, we łzach, Ulanę klęczącą u łóżka; zrzucał z siebie okrycie, chciał biec – ratować pożar; obwinał się o zabójstwo – mył ręce od krwi, którą widział wszędzie. To znowu mary jakieś odpychał, zakrywał oczy, drżał i płakał, a potem ze łzami, z pokorą, tłumaczył się przed ojcem i matką.

– Jam nie winien – mówił – jam nie winien, ona nie winna. On się sam zabił, on umarł. On się spalił. Jam go nie zabił. Ta krew to nie jego krew, to moja: skaleczyłem się, boli mnie... w sercu mnie boli. .. trzeba uciekać, będą mnie gonić, więzić, podpalać, trzeba uciekać daleko. I ja ją wezmę... Nie... nie wezmę, sam pójdę... patrzajcie! po co on tu przyszedł z żarzącą głownią, z nożem w rękę! Chce mnie zabić! Ojczu, matko, ratujcie! Jam nie winien, jam nie winien!

A Ulana klęczała u łóżka i płakała; ona dopiero teraz pojęła swój występki przez jego zgrzyoty. Kilka razy zrywała się do łóżka i biegła szalona do jeziora; ale krzyk

chorego, dochodzący z daleka jej uszu, chwycił ją za serce i ciągnął nazad. Nie miała odwagi umrzeć, a pragnęła już śmierci.

Kilka dni okropnych przeżyła przy nim. Nareszcie gorączka uspakając się zaczęła, chory osłabł i wpadł z rozdrażnienia niezwyčajnego w bezwładność i nieczułość zupełną. Lekarz obiecywał jednak wyzdrowienie; kilka razy chciał usunąć Ulaną od niego, ale ilekroć spróbował, chory dostawał gorączki i wołał jej po imieniu, szukając niespokojnie, tak że znowu płaczącą pod drzwiami do łóża wpuścić musiano.

Nareszcie Tadeusz do sił przychodzić zaczął i postradaną odzyskał przytomność. Wszystko, zdaje się, zatarło w jego pamięci; nie wspomniał już o niczym, a bytność Ulany uważał za zwyczajną i konieczną. Ona mu służyła i nie opuszczała go na chwilę. Biedna, nie podobna już była do tej Ulany, którą pierwszy raz spotkał swobodną, wesołą, idącą w las po grzyby. Twarz jej wyschła, oczy przygasły, usta spalone zsiwały i zbladły, blade chorowita zastąpiła żywy rumieniec.

Tylko w wejrzeniu jeszcze smutnym, ale głębokim, pełnym wyrazu zachowała się pamięć dawnej piękności – oczów swych wypłakać nie potrafiła jeszcze.

Tadeusz ani z nią, ani z nikim innym nic nigdy o przeszłości nie mówił; znać z samego unikania było, że ją pamiętał, ale odpychał rozmyślnie. Dla Ulany był tym, co dawniej; ale namiętność przeszła już w nałóg i obowiązek, pokryty tylko szatą namiętności kłamanej. Ona tego nie spostrzegła – pojąc tego postrzegłszy nie mogła, jak nie pojmowała, ażeby miłość tak gorąca, tak drogo okupiona, mogła się kiedyś skończyć, ostygnąć, przerwać. Dla niej zawsze był to dopiero wstęp do życia; ona skosztowała ledwie rozkoszy, a napiwszy się żółci, pragnęła jej znowu, wyglądała chciwie.

Zimniejsze obejście Tadeusza przypisywała chorobie, osłabieniu, obłąkaniu prawie. Była pewna, że ze zdrowiem powróci miłość, szczęście, któremu już nic na zawadzie prócz czarnego wspomnienia nie stawało.

W jej sercu już to wspomnienie się zacierało, ona tak kochała!

Inaczej Tadeusz; ten się nim męczył i gryzł w milczeniu, a widok Ulany był teraz dla niego wyrzutem nieustannym. Kochał ją jeszcze, ale miłość tą wyrzucał sobie jako zbrodnię i nieraz już myśl przebiegała przez głowę uwolnić się od niej. Litość tylko nad sobą i nad nią wstrzymywała go jeszcze. Czuł, że ona by umarła, że bez niej byłby nieszczęśliwy, choć z nią szczęśliwy być nie mógł.

Ułana, nie zrzucając swego wiejskiego stroju, pozostała we dworze, nieustannie przy nim. Dzieci, chata nic już nią nie obchodziły i co dzień mniej myślała o nich. Tadeusz wstydził się, a odepchnąć jej nie mógł, nie umiał, nie miał odwagi. Dozwolił jej stać się prawie panią w domu samowolną, towarzyszką wszystkich godzin życia, często natrętną, a zawsze przedmiotem szyderstwa dla ludzi. Ją ani szyderstwa, ani wzgarda otaczających nie obchodziły; nie zważała na nie lub dumą za nie płaciła. Czuła się panią, choć z swego panowania tylko dla siebie korzystać chciała, dla namiętności swojej.

Tak upływał czas i Tadeusz do zdrowia przychodził, ale nie wrócił do dawnej wesołości, swobody. Czarna chmura wisiała nad bladym jego czołem, nieustannie pieszcoty Ulany już jej odpędzić nie mogły. A ona jeszcze nie pojmowała stygnącej miłości, bo sama wrzała nią, nienasycona.

– On chory – myślała – on ozdrowieje i poweseleje. O! my będziemy szczęśliwi!

## XIV

Tadeusz miał krewnych, znajomych przyjaciół, od których oderwał się zakopując na wsi. Nikt u niego, on u nikogo nie bywał; dziedziniec porósł chwastami i trawą, sam gospodarz zapomniał dawnego świata, w którym żył. Z wytwornego, wesołego młodzieńca stał się smutnym samotnikiem, zwieśniaczał dla Ulany, zardzewiał.

Z początku nawet nie żał mu było tego życia, które porzucił, bo się nim oparzył; w zastępstwie za nie przyjął nową miłość, nowe życie, teraz już ciężkie jak kajdany. Wstyd, zgryzota sumienia czyniły je co dzień nieznośniejszym; brakło mu jednak woli, aby się wyrwać z niego. On kochał jeszcze, ale miłość jego nasycona, zaczerniona troskami, trwała podpierana tylko litością, popychana nałogiem.

Już jednak przyszłość zdawała mu się nieraz ciężką i smutną, już uciekał od Ulany i błądził brzegami jeziora, sam jeden z myślami.

Czasem marzył w nocy o dawnym swoim życiu, przyjaciółach, niewiernej kochance i wstawał z bijącym sercem z łoża, i wzdychał; ale sam powiadał sobie:

– Cóż tam lepszego, co piękniejszego na tamtym świecie, któren dla niej opuściłem? Więcej tylko wytworu, więcej kłamstwa; któraż by z tamtych kobiet tak kochać mnie potrafiła? One, co kochają tylko siebie, sobie i dla siebie?

A jednak co dzień częściej myślał o dawnym życiu i coraz głębiej zapuszczał się w stare wspomnienia; czuł się spodlonym, poniżonym w oczach własnych, a co najgorzej, srodze występny. Ten występek tak mu był przytomny, tak bliski, ślady jego nie zatarte jeszcze! Dla niego samego żądał się wyrwać ze wsi, od Ulany. Ale jak wielu ludziom płomienistych uczuć, brakło mu woli, targał się w kole, za które wystąpić nie potrafił, wiele siły zużywając na bezskuteczne, konwulsyjne szarpanie sobą.

Jednego poranku letniego wstał raniej niż zwykle, wyegzaltowany marzeniami nocy, co mu rozkołysały serce wspomnieniami dawnymi; uciekł od Ulany, która go uśmiechem, wejrzeniem witała, prosiła o dobre słówko, a choćby tylko uśmiech i wejrzenie. Kazał gotować psy do łowów, na których dawno już nie był; potrzebował uciec z domu, być sam jeden i podumać w szumie lasów.

Wyszedł; kroplistą rosą pokryte jeszcze były trawy, zioła, krzewy, liście ich połykiwały odbijając promienie wschodzącego słońca, które się unosiło w białawych chmurach. Łąki pokrywała para unosząca się ku górze; ptaki śpiewały, ludzie wyjeżdżali na pola, płowy łan żytni kołysał się pochylonymi kłosa, a kwitnąca hreczka zaprawiała wonią powietrze czyste, lekkie, którym miło było oddychać.

Tadeusz ciągnął się w las, gdzie na zające psy zapuścić miano. Dawno już nie polował i nie z dawniejszym swoim zapałem, przejęciem wyszedł na łowy; z spuszczoną głową, założonymi rękoma, nie wiedząc, dokąd idzie, dał się wieść ludziom i posadzić na przesmyku. Przesmyk ten był na wielkiej drodze. Tadeusz wybrał sobie pień, oparł fuzją, usiadł i dumał. Psy jeszcze się nie odezwały, las szumiał w górze, cisza była dookoła, tylko gdzieś daleko słychać ciupanie chłopka rąbiącego sosnę na budowlę.

Wtem zabrzączały dzwonki, zaturkotał powóz – ktoś jedzie drogą. Tadeusz podniósł głowę, wlepił oczy i nie wiedzieć dlaczego, osamotnionemu dawno uderzyło serce na głos dzwonek i turkot kół. Siedział nad samą prawie drogą. Wkrótce ukazała się lekka bryczka czterema karymi, zaprzężona końmi, w której siedział młody jeszcze mężczyzna. Po korzenistej drodze powoli podskakując włókł się powóz. podróżny wlepił oczy w myśliwego, myśliwiec w podróżnego. Mijając Tadeusza zwrócił ku niemu twarzą i zawołał: Stój!

Zaczerwieniony, zawstydzony, pomieszany, wstał z pnia, na którym siedział, Tadeusz.

– Tadeusz!

– To ty, Auguście?

– Jak się masz, pustelniku, jak się masz! Ledwie cię poznał, tak jesteś zmieniony!

Tadeusz westchnął i nic nie odpowiedział, ścisnął tylko Augusta za rękę w milczeniu, z zajęciem patrzył mu w oczy.

– Ty tu niedaleko mieszkasz?

– Bardzo blisko! jedź do mnie!

– A jakże najchętniej! Siadaj za mną! Albo czekaj: mamże ci przerywać polowanie? Niech konie idą, my posiedzimy na przesmyku, pogawędzimy swobodnie. Paweł! – zawołał na furmana – ruszaj do dworu, tu blisko... Jakże się twoja wieś nazywa?

– Jezioro.

– Ruszaj tam do Jeziora, wyprząż konie, zasyp obrok i powiedz, niech robią śniadanie.

Tadeusz podziękował skinieniem. konie ruszyły, oni usiedli i powoli, swobodnie rozmawiać zaczęli.

August był towarzyszem szkolnym Tadeusza, kolegą uniwersyteckim, dawnym przyjacielem. Któż nie wie, co to są przyjaźnie młode, nierozzerwalne związki, których żadna siła rozprąść nie może, bo je utrzymuje czarodziejskie młodości wspomnienie? W późniejszych latach wiążą się i rozwiązują stosunki, zaciąga się przyjaźnie i porzuca bez żalu; do młodych, dawnych przyjaciół, choćby niewarci najszlachetniejszego tego uczucia, zawsze serce ciągnie.

Dla Tadeusza August był żywym wspomnieniem; on był jednym z najpocziwszych towarzyszy, najlepszych przyjaciół, szlachetnego charakteru, pełen otwartości, rubaszny, śmiały, gwałtem się cisnął do serca i kazał się kochać.

Wylany dla przyjaciół, służył im i myślał o nich więcej niż o sobie. Nigdy cudzej nie żądał pomocy, zawsze z nią dla każdego był gotów. Od czasu ostatniego swojego pobytu w mieście, tak tragicznym wypadkiem dla Tadeusza ukończonego, nie widzieli się z Augustem, którego po powrocie na wieś mieszkał o dwadzieścia kilka mil od niego. Pocziwy August dowiadywał się o Tadeuszu, a stugębna wieść, co tak szybko każdego dziwniejszy roznosi wypadek, przyniosła mu opis miłostek samotnika i wszystkiego, co z nich wynikło. Gdybyż po prostu prawdy się tylko dowiedział, ale ileż to fałszu, przesady przemieszało się do niej w drodze.

Z zajęciem i litością spoglądał August na przyjaciela, zaledwie mógł go poznać, tak się odmienił. Twarz wybladła, powieki zmarszczone obwisły nad oczyma, czoło się zmarszczyło, usta zacięły, smutek królował na zestarzałym i wywiędłym przed czasem obliczu.

– Słuchaj no – rzekł August – kiedyśmy się spotkali, gadajmyż już z sobą szczerze; prawda to, co o tobie plotą?

– A cóż plotą? – z bolesnym uśmiechem Tadeusz spytał.

– Żeś się tam zakochał, czy nie wiem, jak nazwać, w jakiejś chłopce, że cię mąż spalił, że potem...

Tadeusz machnął ręką prosząc, aby nie kończył.

– Wszystko prawda – odpowiedział żywo. – zakochałem się i widzisz, do czego mnie to doprowadziło, jak wycieńczyło, wysuszyło. O! bo wiele przecierpiałem! Ale dla takiej miłości, jak jej miłość, warto cierpieć było!

August roześmiał się.

– No, no! Dajże pokój! Przyznam ci się, że nie pojmuje takiej miłości. Jest to jakiś szal. Chwila jeszcze, ale tak długo?

Tadeusz się uśmiechnął i ruszył ramionami.

– Nie znasz jej, nie pojmujesz namiętności, przywiązania tej kobiety. Doświadczyłem jej sto razy w czasie mojej słabości, wyszła, nie wstając od nóg moich. Poświęciła mi dzieci, wstyd, wszystko! O! jej serce warte królowej!

August na zapalającego się Tadeusza patrzył z podziwieniem i żalem.

– Do licha – rzekł w duchu – ze wszystkim oszalał!

– Ni i cóż? – dodał głośno. – Myślisz tedy pędzić z nią żywot gołębi na wieki wieków?

– Nic nas rozerwać nie może: związały nas łązy, cierpienie, śmierć, ogień, ofiary wspólne!

– Ale bo ty patetyzujesz – rzekł August – a ja chciałem z tobą pogadać na zimno, mój drogi! O! tak szczerze, z ręką na sercu, na imię naszej starej przyjaźni! Nie męczysz się ty już tym życiem?

Tadeusz spojrział, spuścił oczy i odwrócił się pomieszany.

– Nie czas się cofać! – rzekł ponuro.

– Wybacz bo zawsze czas przestać głupstwa...

– Augustcie, tyś tak ostygł!

– Tadeuszu, tyś oszalał! Cóż, myślisz zestarzeć się, zerdzewieć, zeschnąć przed czasem u nóg twej wielkiej Omfali? Wartaż ona, abys jej cały świat, nadzieję, przyszłość poświęcił?

– Ona mi poświęciła wszystko...

– Ale ty w końcu się zabijesz, zamęczysz, ty nie wytrzymasz, ciebie jednostajnością struje to życie bez żadnych rozrywek, bez wypadków, bez środków ożywiających. Póki z nią będziesz, musisz się od całego świata oderwać, bo nasz nielitościwy świat nie przyjmie cię nigdy. Jesteś pod banicją i infamią.

Tadeusz westchnął.

– Trzeba cię ratować – mówił dalej August.

– Jestem zginiony – odpowiedział Tadeusz – daj mi pokój; cóż komu do tego, kiedm szczęśliwy!

– Szczęśliwy! – zawołał August. – Ale bo ty się oszukujesz, ty nim nie jesteś, spójrz na siebie, wnijdź w siebie, ty się męczysz okropnie w ukutych przez siebie kajdanach.

W tej chwili psy zaśpiewały i myśliwcy porwali się do strzelb. Wkrótce potem kilka strzałów na boku słyszeć się dały, a Tadeusz zniecierpliwiony zarzucił fuzję na ramię.

– Chodźmy do domu – rzekł.

– Chodźmy.

Po drodze rozprawiali znowu i Tadeusz opowiedział szczegółowie przyjacielowi dzieje swojego serca. W mowie jego przewijało się tyle smutku, tak znać było, że te-  
raźniejszość ciążyła mu kamieniem, iż August, przejęty litością, postanowił w duchu odciągnąć Tadeusza od Ulany, od samotności dla niego zgubionej i szału, co mu dziwaczność własnego położenia odkrywał. często bardzo świeżo ze świata innego, z innym usposobieniem i sposobem widzenia wpadający człowiek pierwszy otwiera oczy zaślepienemu długim osamotnieniem.

Człowiek z najdziwniejszym położeniem powoli się oswaja, braci i bierze je za konieczne; oko nieprzywykłego do tego widoku uderzającym sposobem widzi jego śmieszność. Tak żyjący w dusznej atmosferze więzienia oswaja się z powietrzem jego; wchodzący doń ze świata czuje tylko ciężar jego i zaduchę. często ciężej potem oddychać więźniowi, bo widział drugie piersi wysilające się na tchnienie; poznaje, że mu tu duszno; chce wyjść i wychyla głowę za żelazne kraty.

Tak właśnie było z Tadeuszem. On się oswoił ze swoim położeniem i nie czuł jego nieprzyzwoitości, ciężaru, sromoty. August dopiero mu oczy otwierać zaczął. Tadeusz uczył wstyd, niepokój, podwajający się smutek, do którego już był usposobiony.

Ale powrócimy do nich. Oto stoją na ganku domu, Ulana oknem niespokojna wygląda. Pierwszy to gość w Jeziorze za jej czasów, ona niw wie, co począć z sobą. przywykła wybiegać naprzeciw Tadeusza, nie odstępować go krokiem, służyć mu; teraz, wstrzymana wstydem, co się odezwał w sercu, wkleiła twarz w okno i patrzy niespokojna. Chciałaby pobiec do niego i nie śmie, i ciężko jej, niespokojnie, i tego gościa przeklina, , rada by go się pozbyć, lęka się go, przeczuwając, że obcy nic dla niej dobrego przynieść nie może.

Tadeusz zobaczył ją, odwrócił się, zaczerwienił; August także domyślił się w tej kobiecie, czarnymi, świecącymi, płomienistymi patrzącej oczyma, kochanki przyjaciela, Ulany. Stał na progu i wlepił w nią oczy ciekawe, zdziwione; aż zapłonęła się pod nimi Ulana, spuściła głowę i odejść od okna musiała.

– W istocie piękna – rzekł August – ależ tyle po świecie piękniejszych!

Tadeusz wchodząc w tej chwili we drzwi, wykrzykniku nie posłyszał.

Cały dzień August bawił i Ulana pokazać się nie mogła; dwa czy trzy razy odbiegła z dziecinna ciekawością i wieszczą obawą do drzwi i uciekać musiała; Tadeusz na chwilkę przyszedł do niej. Ona naiwnie go pytała, niecierpliwiąc się:

– Kiedy on pojedzie?

– Nie wiem – odpowiedział Tadeusz zimno i skłopotany.

A gdy wyszedł, szła za nim oczyma, duszą, żądzą, ciekawością, obawą i siadła smutna płakać. Na sercu jej było czegoś tęskno i ciężko.

Nadszedł wieczór, August nie odjechał; we łzach padła na posłanie w swojej izdebce i przy blasku rozpalonego na kominie ognia sama jedna, pierwszy od dawna wieczór w samotnym spędziła dumaniu.

A tam przyjaciele rozmawiali tak wesoło! Ich głosy dochodziły do uszu biednej Ulany, ich słowa dolatywały do niej, ale głosy były niepojęte i niezrozumiałe słowa. Lękała się ich, nie pojmując. I nie myliło ja przecucie. August namawiał Tadeusza, aby wyjechał z domu.

– Słuchaj – mówił mu – jeśli twoje przywiązanie oprze się roztargnieniu, rozłączeniu, wrażeniom nowym, nie powiem słowa, wrócisz domu na dawniejsze życie. Będzie to dowód, że dla ciebie nie ma już innej nad tę przyszłość. Ale dlaczegóż lekarstwa nie spróbować, nie zmyć z siebie plamy? Ja jestem w drodze do Warszawy, nie chciałbyśże jej także zobaczyć po tylu latach?

Tadeusz w końcu milczał; August naglił, ale tego wieczora jeszcze nic wymóc nie potrafił. Nie proszony zabawił w Jeziorze dzień drugi i z uporem przyjaciela o zbańności podawanej rady obstawał przy wyjeździe, namawiał, naglił, zachęcał, prosił.

Tadeusz coraz bardziej milczał, coraz mniej się wymawiał, nareszcie zaczął pokazywać drobnostkowe trudności, które August łatwo usuwał.

– Jedziemy – rzekł ściskając go – musisz jechać.

– A cóż będzie z Ulaną?

– Nich na ciebie czeka! Zostaw ją choćby panią w domu samowładną...

– Ją tu będą prześladować!

– Znowu ci się marzy. Musisz jechać i mówię ci, że jedziesz ze mną.

– Jakże ja jej to powiem?

– Chcesz, to ja się podejmę?

– A! dajże pokój, to być nie może! Ja nie pojadę...

– Dałeś mi słowo, jedziesz! Na dwa tygodnie tylko!

Tadeusz wyszedł i wprost pobiegł do izdebki Ulany. Ona siedziała u okna i patrzyła przez nie, podparta na rękę, na błyszczące jezioro. Wzrok to był, co nie widzi, szklany, nieruchomy, a oczy łez pełne, co mimowolnie, nie postrzeżone, wylewały się z powiek i płynęły po twarzy.

Gdy wszedł, zadrżała, ale się uśmiechnęła.

– A co? On pojechał? – zawołała.

– Nie – stanowczo odpowiedział Tadeusz – jeszcze nie, ale jedzie i ja z nim.

Oślupiała.

– A ja? – spytała załamując ręce i podnosząc głowę.

– Ty zostaniesz tutaj; ja prędko wrócę – bełkotał, zbliżając się do niej, Tadeusz – Zostawiam cię tu panią domu, rozkażę, żeby ci wszyscy byli posłuszni.

Ulana zakryła oczy rękoma, spuściła głowę i płacząc odezwała się:

– O! jak chcecie! Ja mogę wrócić, wrócić do chaty!

– Ale ja tego nie chcę. Cóż to ci się stało? – zawołał Tadeusz. – Ja powrócę prędko, za tydzień!

– Za tydzień! I to prędko? – spytała.

Tadeusz strasznie cierpiał, płomienił się i nie wiedział, jak dalej kończyć poczetą rozmowę. Na szczęście wszedł Jakub i wydawanie rozkazów do drogi, dyspozycji do domu przerwało niebezpieczną rozmowę. Ulana odwróciła się do okna inne ruszyła więcej.

Nazajutrz rano konie stały zaprzężone u ganku, a Tadeusz nie mógł się wyrwać jeszcze z uścisków prawie obłąkanej kobiety, która chciała, aby ja wziął ze sobą.

– Ja tu oszaleję – wołała – sama! Sama! Mnie tu zabijają! Ja nie wytrzymam!

Na próżno uspokajał ją Tadeusz, obiecując prędki powrót: w ostatnim uścisku, jakby przeczuwała inna przyszłość, uchwyciła go i trzymała tak silnie, że na głos Augusta ręce jej prawie jej gwałtem rozdrzeć musiał i splakane całując oczy wybiegł.

Głośny płacz gonił za nim, Ulana wybiec jednak nie śmiała, bała się obcego i ludzkich oczu; tylko dopadła okna wychodzącego w dziedziniec, aby nie stracić z oczów Tadeusza. Serce jej mówiło, że nie wróci takim, jakim odjeżdża.

A on? I on patrzył na nią. W tej chwili droższą mu była niż kiedy; przy rozstaniu podwaja się choćby gasnące przywiązanie i z nową wzmaga siłą, na krótko, prawda, ale niebezpiecznie. Często to wezbrane uczucie przeraża człowieka i grozi mu większą, niż ma jej doznać, boleścią. Tadeusz smutny, chmurny, usiadł z Augustem, a wzrokiem zegnał biedną Ulaną, a sercem obiecywał sobie powrócić do niej prędko, bardzo prędko, jutro. Nie wiedział, że uczucie, którego doznał w tej chwili, rozrzucić miał po drodze, zostawić na brzegu samej podróży, rozsypać po trochu z upływającymi chwilami, z doznanymi wrażeniami, z nowymi widoki.

A nim przyszedł wieczór, już półuśmiech dawno nie widziany igrał na ustach Tadeusza; pocziwy August opowiadaniem żywym rozrywał go. zmuszał do zapomnienia o domu i sobie: dobierał najweselszych powieści, najdziwniejszych przygód i gdy pierwszy rozkwitły uśmiech dojrzał na ustach przyjaciela, uczył się prawie szczęśliwym.

## XV

Ulana została sama ze swoją namiętnością, smutkiem, myślami, sama, okropnie sama. Ona nie miała sposobu oderwania się od nich, musiała płakać. Innego stanu ludzie leczą smutek, boleść, rozpacz, odsuwając się od przyczyn, co je zrodziły, myślą porzucając krąg czarny, tworząc sobie nowe, sztuczne życie w zastępstwie za utracone. Tego uczynić nie mogła Ulana; ona została sama na miejscu, gdzie jej wszystko przypominał Tadeusza, bez zatrudnienia, rozrywki, ciągle patrząc na siebie i swoją boleść. Tydzień upłynął, siedziała w oknie patrząc na drogę na próżno, siedziała pod topolami nad brzegiem jeziora, wyglądała Tadeusza, podsłuchiwała każdego turkotu, serce jej biło na każdy gwar w dziedzińcu; nieraz w nocy zrywała się i biegła patrzeć, czy nie przyjechał. Jego nie było. Sama, zupełnie sama rachowała dnie długie, puste, blade, spędzone w kądzieli, w ogrodzie, na smutnych, jednostajnych dumaniach. Nieraz już pożalowała życia dawnego, które opuściła, z którym zerwała na zawsze, bo od wsi zalatywały ją swoboda, wesele, śpiewy, głosy szczęśliwych od niej ludzi. A ci ludzie patrzyli na nią jak na straconą; nic ją z nimi nie łączyło była im obcą: szyderskim uśmiechem, ponurym wejrzeniem witali ją, żaden słówka nie powiedział, ręki nie wyciągnął. Tam, na drugim brzegu jeziora, na płowym łanie, śpiewali żeńcy, migając białymi koszulami, i pieśń ich dolatywała uszu Ulany, przypominając dawną swobodę. A ona siedziała ze spuszczonej rękoma, bez pieśni na ustach, bez zajęcia, bez celu – co dzień smutniejsza, bo co dzień na próżno wyglądała jego powrotu. Jego nie było.

Wieczorami widziała lud gromadzący się przy karczmie i skaczący przy odgłosie skrzypek i bębna – ona słuchała wesołego tańca i łzy ocierała fartuchem.

Minął tydzień, drugi – on nie powrócił, nie dał znać o sobie. Ulana co dzień niespokojniejsza, a zawsze sama i sama, nikt jej nie pocieszy, nikt do niej nie przemówi, słuchają wszyscy, ale nikt o nią nie dba. Czasem rzuci powitanie przechodzącemu, prosi o słowo dobre i uzyska tylko wzgardliwe, ponure wejrzenie.

Na drugiej niedziel wspomniała swoje dzieci i płakała.

– Sieroty – pomyślała – sieroty za wcześniej! O! pójść by je zobaczyć, pocałować, popieścić!

I myślała pójść do nich, a bała się, aby Tadeusz w tej chwili nie nadjechał, bo chciała go spotkać pierwsza, pierwsza przywitać. Prosiła, żeby jej dzieci przynieśli. Wieczorem Pryśka przyprowadziła je do dworu i zostawiła Ulanie. Dzieci prawie jej nie znały, a ona? Jej serce tak było pełne innego przywiązania, innych uczuć, że się nie wzruszyła na widok dzieci. Załamała ręce, patrzyła.

– Sieroty – zawołała w duchu – cóż ja im? Czy ja im matką? O! nie. Jak na cudze patrzę, jak o cudzych myślę. Nie, mnie już być im matką! Nie potrafię.

I płakała znowu, że kochać ich już nie mogła, i nad sobą, i nad nimi.

Odnieśli nazad dzieci, a wzrokiem ani sercem tęsknym nie poszła za nimi, a w jej uszach ciągle turkotał powóz, co się go spodziewała, w jej sercu biła myśl powrotu Tadeusza.

A on? On nie powracał.

Każda boleść po ukochanym, po ukochanej ciężka człowiekowi, ale kiedy ją znosić przyjdzie samemu, bez pomocy ludzi, świata, kiedy się ona wyciągnie bez miary długa, jak cienie wieczorne, o! wówczas jakże z nią wyżyć! A rzadko boleść taka zabija, ona tylko przyciska, dręczy, drażni, ale nie odejmuje życia. Ulanie co dzień ciężiej, co dzień większy dźwigać smutek, ale jeszcze błyska nadzieja i powtarza: on powróci!

Gdy w swojej izdebce siedzi, to cały czas oczy ma zwrócone na okno od drogi i często godziny, zerwawszy nić kądzieli, z wyteżonym wzrokiem i słuchem czeka turkotu spodziewanego powozu. Wieczorem chodzi ponad brzegiem jeziora, siada, gdzie



z nim siedziała, myśli o nim i pogląda na drogę; a nie odejdzie w głąb, aby nie stracić z oczu gościńca, którym ma powracać. A gościniec pyli się od wozów chłopskich, od wiejskiej trzody, od wózka przyjeżdżającej szlachty i nic więcej. W niedzielę dzwonią dzwony cerkiewne, wołają lud na modlitwę i drogą spieszą wszyscy w nowych świątach, w białych chustach i namiotkach modlić się Bogu i pokłonić się Boga Rodzicy. Ona pójść nie może do cerkwi, wstyd jej ludzi i strach, żeby on nie nadjechał, gdy ona będzie na służbie. Więc siadła i twarzą obraca się ku cerkwi, a oczyma wciąż patrzy na drogę.

Na drodze pusto tydzień, pusto dwa tygodnie i cztery, i sześć, i osiem, i dziesięć. Tyle dni, tyle zawodów! A ileż to razy już się zdaje, że jedzie, już poznaje konie, już leci przywitać! Powóz przesuwa się gościńcem i popędził w lasy dalej. To nie on! Za każdą razą spuszcza głowę smutna, łzy popłynął z czarnych oczu i znowu czeka, i znowu na próżno.

Przyszła jesień, wesoła pora dla wieśniaków, dla niej smutniej jeszcze niż w lecie, jej dostatek nie cieszy, bo niczego nie braknie! Jej wszystko jedno, wiele zżęli na polu i co Bóg dał z niwy; dość, że jego nie ma, i nie ma, i nie ma!

Już wszystkie liście z drzew opadły i leżą pod drzewami, w ogrodzie tylko suche sterczą łodygi i pnie czarne, północny wiatr napędza chmury i chłodno siedzieć nad jeziorem. Ona tam zawsze jeszcze, bo stamtąd widać jej drogę. Pusta droga.

Jednego ranka wszedł pan Linowski do izdebki.

– Dzień dobry – rzekł poufale.

Ulana porwała się z bijącym sercem.

– Mailem wiadomość od pana.

– Prędko wróci? – zawołała podskakując ku niemu – prędko wróci?

Linowski się uśmiechnął.

– Otóż to pisze, że powróci prędko... ale z gośćmi powróci.

– Z gośćmi! – chmurząc brwi przerwała i powtórzyła. – A! byleby już powrócił!

– Z krewnymi! – uśmiechając się znowu dorzucił pan Linowski. – I w domu im będzie ciasno; pisał pan, żebyście się wynieśli do pańskiego dworku nad jezioro.

Ulana wielkimi oczyma zmierzyła mówiącego; stała, milczała.

– Dobrze – zaraz idę. – I zaczęła zbierać płacząc swoje rzeczy, aż się Linowskiemu żal zrobiło.

– Nie spieszcie się – rzekł powoli.

– Byleby pan powrócił prędeż – szepnęła cicho i już szła; a idąc myślała:

– Nie darmo był niepokój! On już wypędził mnie z domu! Ludzie go ogadali! Ludzie nas chcą rozerwać! Ale on wróci i wszystko z nim!

A ciesząc się była niespokojna jednakże i płakała. Przyszła do pustego dworku i pobiegła do okna zobaczyć naprzód, czy widać z niego drogę.

– Ach! I drogi nie widać!

Siadła na ławie zapyłonej nieruchoma, podparła się na rękę i przesiedziała godzinę, dwie, do wieczora. We dworku tak strasznie było pusto! Nikt w nim nie mieszkał od dawna prócz szczurów i myszy: komin rozwalony, piec pęknięty, stół złamany, ława pod ścianą cały sprzęt składały. I nikogo przy niej, nikogo blisko nawet!

Wieczór się zbliżał, chłód obejmował, zlitowali się przecie dworscy i przyszli ognia rozpalic małego, zimnego, jak litość obojętnych. Ona do niczego się nie ruszyła, a w myśli nieustannie powtarzała:

– Wypędził!

Całą noc przesiedziała na ławie. Ogień wygaś, nie dołożyła drewek, dzień zaświtał, nie wstała, – straciła resztę czucia i przytomności, ostatek nadziei.

I jak fale przychodzą, to odступują od brzegu, tak do serca przychodziła, to odступowała nadzieja – rozbijając się o nie.

Tydzień w pustym dworku minął, a jego nie ma jeszcze, nie powraca. Już dwa razy biały śnieg upadł i stopniał na przymarzł ej ziemi, dwa razy szklanymi lodu kawałkami okrywały się brzegi jeziora, jego nie było.

Ulana co dzień jeszcze siadała na ławce pod topolami, patrzała, patrzała, płakała i co dzień mniej się spodziewała, co dzień lękała się bardziej.

Już powrót jego nieraz był jej straszny, a nuż powróci innym, powróci i nie spojrzy, odepchnie, wszak wypędził z domu!

– Niech lepiej nigdy nie wraca – mówiła sobie – wolę go tak czekać do śmierci, niż doczekać się, czego bym nie przeżyła.

## XVI

Chmurnym porankiem jesieni toczył się powóz ciężki i ładowny brzegiem jeziora, gościńcem z daleka; powoli szły zmęczone konie po twardej grudzie. Ulana siedziała, patrzyła i poznała konie, i wyciągnęła ręce, a na krzyk, co się chciał wyrwać z jej piersi, głosu zabrakło.

W tej chwili odsunęły się firanki powozu i ukazała się głowa mężczyzny. Z daleka, z daleka, a ona go poznała, przeczuła go. To on był.

A za nim, zwieszona na jego ramieniu, wychyliła się druga głowa, głowa młodej, pięknej kobiety. Opadły ręce wzniesione, słupem stanęły oczy, zabiło silniej jeszcze serce. Ulana już nie patrzyła na drogę, ale pobiegła ku dworkowi, biegła, otworzyła drzwi, zasłoniła oczy i padła na ziemię.

A co się działo w jej duszy? To, co w dzień ostateczny dziać się będzie ze światem naszym, a czego słowa nie opiszą.

Tymczasem toczył się powóz przed dom i z chlebem, z solą witali słudzy panią, a pan Tadeusz wysiadł posepny, chmurny, niespokojny, podając jej rękę. Wzrok jego obiegił dookoła, bał się spotkać wzroku Ulany, zastanowił się na oknie jej izdebki. Ono było zaparte, milczące, ciemne. Odetchnął, weszli.

Za pierwszym powozem wtoczył się drugi, i trzeci, zawzięło gośćmi zaszumiało, poweselało, rozruszało się wszystko. Z kominów puściły się dymy, gwar w dziedzińcu, gwar w domu, ruch wszędzie.

I pan Tadeusz, gdy pierwsza chwila strachu minęła, rozweselił się, rozchmurzył, gospodarował, ożywił, żonę przyjmując.

Jaka bo młoda, ładna Tadeuszowa żona! I czarne ma oczy jak Ulana, ale nie wypłakane, błyszczące, jasne, a nad nimi toczą się brwi półokręgiem, a pod nim śmieje się noski zadarty i drobne różowe usteczka się śmieją, a przy nich dwa dołki różowe, dwa gniazdeczka śmiechu.

I wesoło, wesoło, bo ciągle się trzepiocze, biega gada, zagłada, to poklaskuje w dłonie, to potrząsa główką, to przymila się do męża. Wyrzała wszystkimi oknami, przebiegła każdymi drzwiami, okręciła się w każdym pokoju, zwiedziła każdy kąt i długo, długo patrzyła na jezioro i za jezioro na gościniec, a potem westchnęła.

Po kim? Dlaczego? Może za matką, za rodziną, za krajem swoim? Może. Nikt nie wie, czego westchnęła. A po westchnieniu zaraz uśmiech wbiegł na usta, igrał w słowach. I pobiegła do okienka.

Tadeusz przyszedł do niej, wziął ją w pół, oprowadził po domu, pokazywał, oddawał klucze i pieścił miękkiemi słowy. Ona się śmiała wesoło, a czasem ukradkiem westchnęła, ale on tego nie słyszał, nie widział.

Tak cały pierwszy dzień upłynął i wieczór jesienny, smutnym wiatrem, z chłodnym deszczem, z czarnymi chmurami nasunął się na niebo.

We dworze było jasno, wesoło, gwarno; w domu Ulany pusto, ciemno i cicho, i smutno.

U wygasłego od dawna, od wczoraj ognia ona siedziała, patrzyła i nie wiedziała, myślała, a myśli jej biegły bez ładu, to czarne, to błyszczące, to powikłane, to krwawe. Łez w jej oczach nie było, wyschło źródło, z którego płynęły, zamarzło razem z jeziorem.

Ona mówiła sama do siebie:

Powrócił, ożenił się, wypędził... Na co mnie żyć? Nie mam dzieci i serca dla dzieci, nie mam nikogo. Wszyscy swoi opuścili, on porzucił. Jemum niepotrzebna i nikomu. A wytrzymać życia nie potrafię. O, nie! Umrzeć i skończyć wszystko. Choć po śmierci

pożałuje, zapłacze i powie, że go mocno kochała, póki życia stało. U nich i pamięć słaba, i miłość krótka. Krzyż na mnie! Panie Boże odpuść!

I szepcząc już niezrozumiałe słowa, odpasywała czerwony pas, co ścisnął jej święte, nieprzytomnie biegając po izdebce.

– A! gdyby go zobaczyć jeszcze. Choć raz jeszcze pogadać po dawnemu, posiedzieć chwilę. Nie, nie! Ciężej byłoby umierać, smutniej porzucić.

Z rozpuszczonymi włosy, obłąkanym wzrokiem biegła Ulana z dworku po twardej grudzie pod okna pańskiego domu. Z okien błyskały, światła, słychać było gwar wesoly; na dworze wiał wiatr chłodny i czarna ciemność smutni w niebiosach wisiała. Podbiegła do okna, wlepiła oczy, patrzyła.

Na kominie palił się ogień, dookoła stali, siedzieli, chodzili, jacyś nieznajomi panowie, kilku za stołem grali, a wszystkich twarze były tak ożywione, wesole, rumiane, że aż zazdrość brała. W pośrodku stał Tadeusz z żoną; ręką wpół ją objął, głowa jej pochyliła się na jego ramię, a oczki figlarnie patrzyły na niego. Śmieli się do siebie, szepcząc coś po cichu.

Ulanie zrobiło się przykro boleśnie, śmiertelnie zakłuło w sercu, a patrzyła jednakże długo, długo od niego nie mogąc wzroku oderwać.

Ona go żegnała na zawsze!

Nareszcie gwałtem oderwała się od okna, odbiegła od domu i puściła się ku jezioru, ściskając w rękę swój czerwony pas. Zasypaną liśćmi suchymi ścieżką pędziła ku brzegowi, gdzie stały topole i znajoma ławka. Jeszcze raz obejrzała się na błyszczący ogniami dwór świecący wzgórza, żegnała wzrokiem, potem chwyciła za topolę i objąwszy ją rękoma, zapłakała. Czerwony pas drżał jej w rękę. Jeszcze chwile tak stała z oczyma wlepionymi w okno, przez które ostatni raz go widziała, potem żywo rzuciła się na ławkę i pas zarzuciła na gałąź topoli, próbując, czy ją wytrzyma, powolnie, uważnie gotując sobie śmierć, aby ja nie zawiodła.

Wstąpiła na ławkę i spojrzała jeszcze, i jeszcze zapłakała, zakładając węzeł na szyję.

Ostatnia chwila życia oblała się łzami.

– A! ja go tak kochałam, jam dla niego wszystko porzuciła, poświęciła wszystko, a on! a on!

Smutnie potrząsała głową.

– Taka miłość tak się skończyć musiała!

Biedna Ulana przeżegnała się, zwracając ku cerkwi, i w powietrzu zakreśliła krzyż w stronę dzieci zwracając, potem jeszcze spojrzała na dwór.

Za chwile wiatr szumiał gałęziami topoli, a na gałęzi zimne ciało Ulany wisiało. Dwie łzy zamarzły na powiekach.